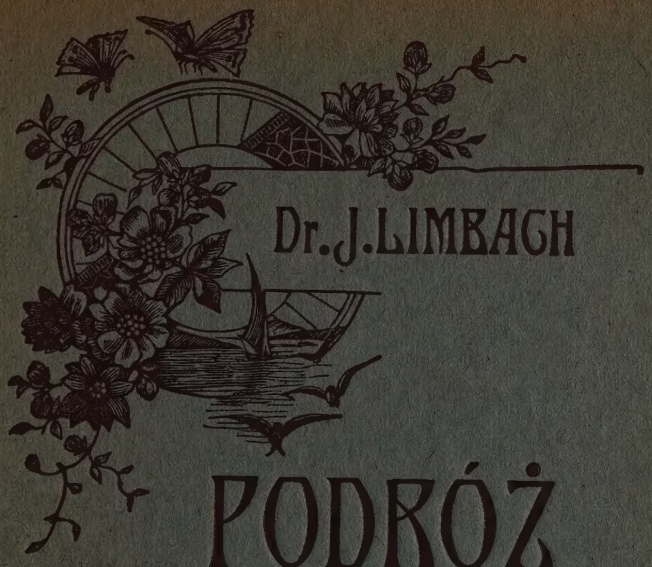

Dr. J. LIMBACH

PODRÓŻ DO TRYESTU

715.

Podróż

do Tryestu.

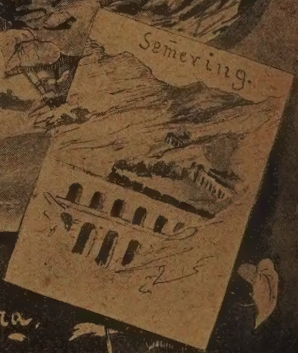

przez

Prof. Dra.

Józefa Limbacha.

NAKŁAD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.

Biblioteka dla młodzieży. Serya 2. Tom IV.

PODRÓŻ DO TRYESTU.

Opowiadanie dla młodzieży

przez

Dra JÓZEFA LIMBACHA,

Profesora gimn. Franciszka Józefa we Lwowie.

(Z rysunkami Leonarda Winterowskiego).

(z 29 rycinami w tekście).

WE LWOWIE
NAKŁADEM TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.
Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, ulica Lindego l. 4.
1899.

Printed in Poland

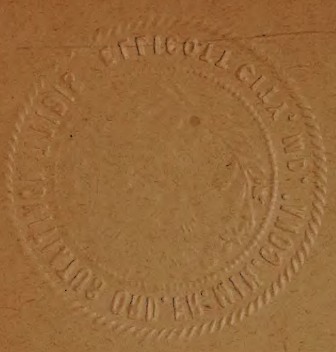
CHRISTI COLL. CANTAB. SOCIUS
OLD ENGLISH COIN

1. Widok Przemyśla.

I.

„Już idzie“! Na to hasło ostrzegające, wydane przez czatującego u drzwi kolegę, zaległa głęboka cisza. Słychać było wyraźnie miarowy krok naszego gospodarza klasy. Serce biło mi gwałtownie, i nie dziwota, bo był to dzień 15 lipca, dzień rozdania świadectw. Nie na jednym drżała skóra na myśl, że otrzyma złe świadectwo, że będzie musiał klasę powtarzać. Tej obawy ja nie miałem; uczyłem się pilnie i pewny byłem dobrego postępu, ale o co innego mi się rozchodziło. Czy otrzymam pierwszą klasę z odznaczeniem, czy też nie? — to była kwestya wielkiej dla mnie wagi. Ciągle dźwięczały mi w uszach słowa stryja: „Będziesz celującym, to pojedziesz ze mną na wakacye nad morze, jeżeli nie, będziesz siedział w domu“. Uczyłem się tedy bardzo pilnie i byłem przekonany, że więcej pracowałem, niż innych lat; mimo to jednak obawiałem się ostatecznego wyniku.

To też każdy krok naszego profesora, niosącego świadectwa szkolne, silnem echem odbijał się w mojem sercu. Nareszcie otwarły się drzwi i profesor wszedł do klasy. Szybko rzuciłem okiem na niego, czy w spojrzeniu nie wyczytam pomyślnej dla siebie wiadomości. Niestety, twarz naszego historyka, okolona bujną brodą, była, jak zawsze, spokojna; tylko uśmiech zadowolenia, błąkający mu się na ustach, dodawał mi otuchy. Stanął za stołem, świadectwa położył przed sobą i rozpoczął mówić. Co mówił, dalibóg, nie pamiętam. Pojedyńcze słowa, zdania urywane, obijały się o moje uszy, lecz nie wiązały się w całość; nie mogłem uchwycić toku myśli, tak byłem rozdrażniony. Jak długo

trwała jego przemowa, nie wiem, zdawało mi się jednak, że bardzo długo; wtem zakończenie zeelektryzowało mnie, przeczułem, iż ostatnie słowa do mnie się odnoszą.

— Że pilność i praca znajdą zawsze uznanie, że nawet miernych zdolności uczeń, przy dobrych chęciach, osiągnąć może świetne rezultaty, najlepszym tego dowodem pierwsze świadectwo, które biorę do ręki. Arciszewski Franciszek, oto masz świadectwo, a nie ustawaj na przyszłość w gorliwej pracy.

Wystąpiłem na środek, cały zapłoniony, serce biło mi jak młotem. Odebrałem świadectwo, jednym rzutem oka objąłem je całe. Miałem odznaczenie, tak przezemnie upragnione. Nie czekałem rozdawania dalszych świadectw, chwyciłem za czapkę, jedno posunięcie nogą, mające oznaczać ukłon i już znalazłem się za drzwiami. Pędem przebiegłem przez korytarz i schody, nie pomny, że bieganie po korytarzu było surowo wzbronionie; nie widziałem kolegów, którzy z świadectwami w ręku opuszczali gmach szkolny: ten z miną wesołą, tamten ze łzami w oczach. Co mnie to wszystko obchodziło, chciałem czemprędzej dostać się do domu, by się pochwalić swem świadectwem.

Rzeczywiście, gdyby to tak każdy z kolegów przewidział, jak wielką radość sprawi swym rodzicom, przynosząc ze sobą dobre świadectwo, toby dołożył nieraz wszelkich starań, zaniechał swawoli i nieuwagi, byle doczekać tej chwili, gdy wręczy rodzicom przy końcu kursu dowód swej pracy. Ach! jakżeż cieszył się mój ojciec, jak serdecznie uściskała mnie matka.

— No Franiu! — rzekł mi ojciec — klasa jest dobra, stryj dotrzymuje obietnicy; dziś odebrałem list, że jutro rannym pociągiem przejedzie przez Przemyśl i prosi, bym cię odstawił na dworzec, jeżeliś dopełnił warunku. Wiele przygotowań do podróży robić nie potrzeba, matka spakuje twój kuferek i jutro, skoro świt, jazda.

Jakżeż wielką radością napełniły me serce te słowa. Pojadę więc, zobaczę tyle miast, tyle ludzi, a przedewszystkiem zobaczę morze, to morze, o którem tak marzyłem,

które przez rok cały było mi bodźcem do pracy. Zniecierpliwiony, nie mogłem doczekać dnia jutrzejszego. By czas skrócić, poszedłem po obiedzie na przechadzkę na Zamek, by z góry zamkowej ostatni raz rzucić okiem na okolicę Przemyśla i pożegnać ją na całych sześć tygodni. Niejeden z was nie wie może, że Przemyśl, to według nowoczesnych wymagań sztuki wojennej, bardzo silna forteca. (zob. ryc. 1).

Przed dawnymi czasy, będąc jeszcze stolicą Rusi, już był potężną twierdzą, a o mury zamku, którego baszty wieńczą dziś szczyt góry, panującej nad miastem, rozbiła się i w późniejszych czasach niejedna nawała turecka. A stary to zamek, bo zbudowany jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego. Jakżeż piękny widok roztacza się z baszty zamkowej, która dotychczas skutecznie oparła się działaniu niszczącego czasu i wysoko ponad drzewa plantacyi wystrzela w górę.

Amfiteatralnie, na północnych stokach góry i nad brzegiem Sanu, rozsiadło się miasto. Na wschodzie, jak daleko sięgniesz okiem, równina, po której majestatycznie San zakreśla swój łuk esowaty, zabierając w niedalekiej odległości za miastem rzekę Wiar. Na południu, na szczycie góry, wznosi się kopiec, usypany ręką ludzką, t. zw. „Zniesienie“. Usypano go podobno przed 200 laty, nie wiadomo, na jaką pamiątkę; lud mówi, że to grób chana Tatarów, który tu sromotną poniósł klęskę.

Stałem czas długi, zapatrzony w okolicę i trochę żal mi się zrobiło, że już jutro będę gdzieś daleko od tych miejsc, tak mi bliskich i miłych. Nie dziw się temu, kochany czytelniku, bo przecież miała to być pierwsza podróż moja, nigdzie jeszcze po za Przemyśl nie postawiłem kroku, a nawet, co ze wstydem wyznać muszę, nie jechałem koleją ani razu, choć skończyłem już klasę czwartą. Największą moją wyprawą była wycieczka do wsi Pnikuta, którą pod przewodnictwem gospodarza klasy zwiedziliśmy dlatego, że na jej polach zgromił Tatarów w r. 1672 gwardyan Reformatów, ks. Krystyn Szykowski. Żywo w pamięci tkwił mi ustęp z naszej czytanki, jak to on ich „jednym rzutem

zniósł pod Pnikutem“ i jak to „chan targał sobie włosy, że go pobił hetman bosy“.

Ale czas wracać było do domu, bo jutro trzeba rano wstawać. I rzeczywiście, zaledwo czwarta uderzyła, byłem już z ojcem na dworcu kolei żelaznej i oczekiwałem, jak gdyby w gorączce, nadejścia pociągu. Pusto jeszcze było na peronie; tu i ówdzie robotnicy śpieszyli do warsztatów, opodal na ławce drzemał zwrotniczy, a drugi z czerwoną chorągiewką przechadzał się między szynami.

Wtem zawarczało coś nad moją głową i ostry głos dzwonka rozległ się po peronie; spojrzałem, a oto młotek, szarpnięty drutem, znów uderzył w dzwonek, umieszczony na słupie. Na ten sygnał ruch i gwar wszczął się wielki. Zaroił się peron podróżnymi, którzy z różnych sal wychodzić zaczęli. Pomiędzy szynami uwijali się dozorcy, a drzemiący dotychczas zwrotniczy także się zerwał i na tor śpiesznie wyszedł.

— Czy już pociąg nadchodzi? zapytałem ojca.

— Jeszcze nie, ale wkrótce tu będzie, bo to był sygnał, że pociąg wyjechał z najbliższej stacyi, t. j. z Medyki.

— Z Medyki — zawołałem — ależ to bardzo blisko, to wioska oddalona zaledwo milę od Przemyśla.

— Widać, żeś dobrze obznajmiony z okolicami rodzinnego miasta.

— I owszem, pamiętam, że w Medyce przeziębił się Jagiełło, słuchając w nocy śpiewu słowików.

W toku naszej rozmowy zamigotały w oddali dwa czerwone punkciki, doleciało mych uszu dudnienie, z początku przytłumione, potem coraz głośniejsze, zarysowały się wyraźniej potworne kształty maszyny i nim się spostrzegłem, pociąg, sapiąc i dysząc, wpadł z łoskotem na dworzec, ciągnąc za sobą długi szereg wagonów.

— Jarosław, Rzeszów, Tarnów, Kraków, Wiedeń, proszę wsiadać, dał się słyszeć donośny głos portyera. Tłum podróżnych rzucił się do wagonów, a z pootwieranych drzwiczek przedziałów zaczęli wysiadać ci, którzy do Prze-

myśla dążyli; ledwie przecisnąć mogliśmy się do tego przedziału, w którym stała wyniosła postać mego stryja.

— Tu, tu do mnie! wołał on. Krótkie było powitanie, krótkie pożegnanie. (zob. ryc. 2).

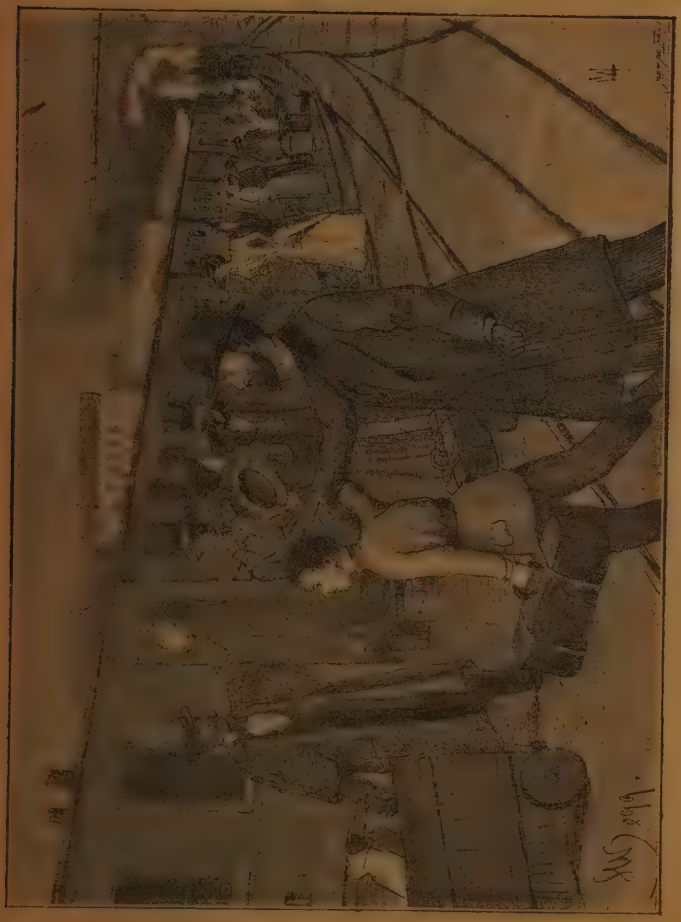

2. Odjazd z Przemyśla.

— Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, usłyszałem jeszcze głos mego ojca, bo konduktor już drzwi zatrzasnął. — Gotów, odjazd! jeden i drugi konduktor zakrzyknął, dał się słyszeć urywany głos trąbki prowadzącego pociąg, maszynista odpowiedział przeraźliwym świstem i pociąg, poruszony niewidzialną siłą pary, posunął się naprzód, z początku powoli, potem coraz raźniej i wkrótce pędził, jak strzała. Zadudniały koła po moście żelaznym, rzuconym przez San, jeszcze jedna chwila, a zakryte wzgórzami, znikło mi z przed oczu rodzinne miasto.

Teraz dopiero zwróciłem się do stryja i rozglądnąłem się po przedziale, w którym siedzieliśmy. Prócz nas nie było nikogo. Stryj mój był to człowiek starszy, siwizną dobrze przyprószony. Twarz miał smagłą i opaloną, a czarne, przenikliwe oczy utkwione były we mnie; widocznie chciał się stryj dowiedzieć, jakie wrażenie robi na mnie początek tej pierwszej w życiu podróży. Stryj sam był już z tem wszystkiem aż nadto obyty; od lat dziesięciu bowiem prawie ciągle podróżował: przejechał Amerykę wszerz i wzdłuż, zwiedził Indye przed i za-gangesowe, przedzierał się przez puszcze środkowej Australii. I teraz wybrał się znowu w świat, dokąd? nie wiedziałem. Ciekawość paliła mnie, nie śmiałem go jednak zapytać o cel podróży naszej. Że to była podróż nad morze, o tem powiadomiony byłem od dawna, ale nad które, w jaką stronę? — było dla mnie zagadką.

Siedzieliśmy tak kilka chwil w milczeniu, które nareszcie stryj przerwał zapytaniem:

— Co słychać u was w domu? Czy wszyscy zdrowi? Nie miałem czasu zapytać o to twego ojca, bo przystanek był za krótki, a z pociągiem błyskawicznym nie ma co żartować; zostawi nieoględnego, a sam popędzi, byle być jaknajprędzej w Wiedniu.

— To my do Wiednia jedziemy? pochwyciłem.

— Zobaczysz później odrzekł stryj krótko, a teraz winieneś odpowiedzieć na moje pytanie. I rozpoczął ze mną rozmowę o domu, o szkole, o postępach w nauce. Opowia-

dałem obszernie i żywo, chcąc sobie zaskarbić względy stryja, którego już teraz w duszy błogosławiłem za przyjemności, jakich miałem zaznać w podróży. Wśród rozmowy kierowałem wzrok swój ku oknu, gdzie, jak w kalejdoskopie, migały się łąki, pola, wzgórza, gaiki; niekiedy wioska wyłoniła się z pośród drzew, by wkrótce zniknąć, to miasteczko lub miasto zabłyszczało w oddali swymi białymi budynkami, ale jeszczem się dobrze nie przypatrzył kamienicom i kościołom, a już mijaliśmy stacyę, zwolniwszy ledwie trochę w biegu. Na większych tylko stacyach zatrzymywał się pociąg chwil kilka, zabierał podróżnych i znowu mknął dalej.

Widząc moje zainteresowanie się okolicą, widząc, że biegam od jednego okna do drugiego, rzekł stryj, wyciągając zegarek:

— Już blisko południe, jesteś pewno głodny, chodź do restauracyi, tam się posilimy i swobodniej będziesz się mógł przypatrywać okolicom.

— Czyż pociąg zatrzyma się gdzie tak długo, że będziemy mogli spokojnie zjeść obiad? zapytałem.

— Nie pytaj, tylko chodź za mną.

Wstał stryj i poprowadził mnie wązkim korytarzykiem, ciągnącym się z boku wagonu aż na zewnątrz, gdzie po małym pomoście dostaliśmy się do drugiego wagonu. Taką samą drogą przeszliśmy jeszcze kilka wagonów, aż nareszcie doszliśmy do wagonu dużego, bez przedziału, gdzie rzędem poustawiane stoły, ponakrywane białymi obrusami, zachęcały do posiłku. Był to, tak zwany, wagon restauracyjny, kursujący przy każdym pośpiesznym pociągu, gdzie wygodnie można zjeść obiad, przyczem okna, umieszczone obustronnie, odsłaniają widok na całą okolicę, przez którą się przejeżdża.

Co wtedy jadłem i jak długo? — nie wiem, bo więcej zwracałem uwagi na to, com widział za oknem, niż na to, co leżało przedemną na talerzu. Minęliśmy tak Tarnów, Bochnię i kilka innych mniejszych stacyi, gdy w oddali zaczęły wyłaniać się na widok wieże, kościoły, gmachy,

nad którymi, na wzgórzu, majestatycznie wznosił swe baszty do góry potężny zamek.

Zerwałem się i pobiegłem do okna.

— Prawda stryju, że to Kraków, a ten zamek to Wawel? zawołałem.

— Tak — odrzekł stryj, to Kraków; chętniebym się tu zatrzymał, ale brak czasu na to nie pozwala; może z powrotem zaglądniemy do niego, byś zobaczył, ile cennych pamiątek, drogich sercu naszemu, to miasto kryje w sobie.

Ach! wiedziałem o tem dobrze, przecież nie za darmo otrzymałem „celująco“ z historyi; wiedziałem, że ten wzgórek, który właśnie mijaliśmy, otoczyny czerwonymi murami, to mogiła Krakusa, że miasto, rozłożone u stóp jego, to Podgórze, że tuż za niem Wisła toczy swe wody, stanowiąc granicę między Galicyą a Wielkiem Księstwem Krakowskiem, a tam, w oddali, na wzgórzu św. Bronisławy widnieje na tle niebieskiego nieba Kopiec Kościuszki, usypany na cześć tego bohatera rękami wdzięcznych rodaków.

Chętnie byłbym został w Krakowie, by chociaż zwiedzić katedrę na Wawelu z grobami naszych królów, z grobem Kościuszki i Mickiewicza, zejść do tak zwanej „Smoczej jamy“ pod Wawelem, usłyszeć dzwon Zygmunta z wieży kościelnej — ale nie miałem odwagi prosić o to stryja.

Pociąg tymczasem zajechał na peron, powtórzyła się scena wsiadania i wysiadania, napełnił się i nasz przedział. Nie mogłem już swobodnie wyglądać oknem, gdy po 10 minutach spoczynku i nabraniu wody pociąg wyruszył dalej na zachód ku Wiedniowi; 45 mil, dzielących Kraków od Lwowa, przebył on prawie w 6 godzinach, zwyż drugie tyle drogi było jeszcze do przebycia. Z początku droga była nudna: z prawej strony rozciągała się równina obszerna, zamknięta małemi wzgórzami, które — jak mi stryj objaśnił — leżały już w Królestwie i wśród których znajduje się urocza dolina rzeczki Prądnika; ma to być śliczna dolina, podobna do doliny górskiej. Opisał mi ją stryj dokładnie: po obu stronach Prądnika sterczą tam wapienne skały, bądź pokryte bujną roślinnością, bądź nagie i strome

pną się wysoko ku niebu. Swymi dziwacznymi kształtami przypominają: to wieże, to mury, to zwaliska lub grobowce. Dolina, w którą wchodzi droga przez komorę rosyjską „Szyce“, z początku szeroka, zwęża się coraz bardziej; coraz bliżej siebie strzelają do góry skały z obu stron rzeczki, aż nakoniec w najwęższem jej miejscu, na wysokiej skale, wznoszą się ruiny zamku Ojcowa (zob. ryc. 3), zbudowanego, jak się zdaje, przez Kazimierza Wielkiego, który tę nazwę nadał zamkowi dlatego, że w jednej z grot

3. Zamek Ojcowski.

ojcowskich ojciec jego szukał i znalazł schronienie przed prześladowcami.

Gdyśmy minęli wzgórza ojcowskie, zwróciły moją uwagę nizkie pagórki, ciągnące się po lewej stronie, częścią

nagie, częścią lasem porosłe, wśród których ciekawszem było miejsce tuż przy wsi Zabierzowie, gdzie nagie, piaskowe skały, o dziwacznych kształtach, świeciły wśród zieleni leśnej. Jedna z tych skał, prostopadle wzniesiona w górę, nazywa się „Skałą Kmity“ — bo z jej wierzchołka rzucił się w przepaść wraz z koniem pewien rycerz, Kmitą zwany, jak to potwierdza napis, wyryty na skale (zob. ryc. 4).

4. Skała Kmity.

Za małem miasteczkiem Chrzanowem, 6 mil od Krakowa odległem, przypomniał mi się żywo pobyt w klasie pierwszej, gdy stryj, pokazując na niedużą wioskę, ukrytą w zieleni drzew, powiedział mi, że to „Kościelec“. Któż

z was, mili czytelnicy, nie uczył się na pamięć prześlicznego wiersza ks. Antoniewicza:

„Koło Krakowa, w rozkosznej dolinie,
Kędy Wisła srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła,
Sady i niwy wieńczą ją dokoła".

Co do sadów i niw zgoda, pełno ich tam wokoło, ale co do Wisły, to daremnie szukałem jej po obu stronach pociągu; objaśniono mnie, że płynie ona stąd daleko, prawie o siedm kilometrów.

Za stacyą Dziedzice opuściliśmy granice Galicyi i wjechaliśmy na Śląsk. Tutaj nagle krajobraz się zmienił, znikły nasze nędzne wioski z lepiankami, pokrytemi słomą; natomiast całe grupy domków murowanych, schludnych, sprawiały wrażenie gęsto rozsiadłych miasteczek, za które je też z początku uważałem. Uczyliśmy się w 4 klasie, że Śląsk, to kraj przemysłowy; teraz dopiero nabrałem pojęcia, co to znaczy. Gęsto po obu stronach toru ciągnęły się fabryki; wysokie ich kominy buchały czarnymi kłębami dymu: tu przędzalnia, tam rafinerya nafty lub cukru, dalej fabryka kwasu siarkowego, huta szklana, gisernia i t. d. zmieniały się w nieprzerwanym prawie szeregu, a wyłaniające się z przesyconego dymem powietrza daleko na widnokręgu inne kominy, świadczyły, że cały kraj takiemi fabrykami jest gęsto zabudowany.

Patrzyłem długo na ten widok, aż nareszcie znużył mnie on swą jednostajnością; po źle przespanej nocy, przesycony wielką ilością nowych wrażeń i ukołysany miarowym ruchem pociągu, wcisnąłem się w kąt siedzenia i wsparłszy głowę o poduszkę siedzeniową, usnąłem. — Spałem smacznie i dość długo, bo gdy, zawołany przez stryja po imieniu, zbudziłem się nareszcie i przetarłem oczy, obaczyłem, że był już wieczór.

W naszym przedziale nie było nikogo.

— Smacznie spałeś — rzekł stryj do mnie — przespałeś wiele ładnych widoków, lecz musiałem cię obudzić, bo zbliżamy się do stolicy naddunajskiej, a właśnie teraz prze-

jeżdzamy przez miejsca historyczne. Podskoczyłem do okna. Pociąg pędził po równinie. Jej krańce ginęły w zmroku wieczornym, tuż pod nami rozciągała się duża wieś ze swymi domkami o czerwonych dachówkach i dość równymi drogami, podobna do małego miasteczka.

— To Wagram — rzekł stryj.

— Wagram? powtórzyłem zdziwiony, nie wiedząc, jaki fakt historyczny przywiązany jest do tej nazwy; siliłem swą pamięć, ale nadaremnie, niczego sobie przypomnąć nie mogłem.

— Patrz na ten kościół, czy nie widzisz w nim nic szczególnego?

— A tak, jedna wieża bez dachu, wygląda jakby ucięta.

— W roku 1809 zestrzelony został ten wierzchołek przez pociski francuskie i dla pamięci tej sławnej bitwy naumyślnie nie odbudowano wieży. Zapewne uczyłeś się, że tutaj, na tych polach, 5 i 6 lipca wrzała straszna bitwa między Napoleonem I i Austryakami pod dowództwem arcyksięcia Karola.

I zaczął stryj żywo opowiadać, jak Napoleon, pobity przedtem przez arcyksięcia pod Aspern, obwarował się na wyspie dunajowej, sławnej „Lobau“. Zbudowawszy most na lewy brzeg tej rzeki, przerzucił Napoleon całą swą armię w tę stronę i w sile 160.000 ludzi i 584 dział rozpoczął atak na wojska austryackie, liczące 120.000 żołnierza i rozporządzające 452 działami. Wieś Wagram była punktem oparcia dla Austryaków, którzy tak dzielnie się tu bronili, iż 5 lipca zdawało się, że zwycięstwo zostanie wierne chorągwi arcyksięcia Karola, bo szturm główny odparto. Niestety, nazajutrz ponowił Napoleon atak i zmusił arcyksięcia Karola do odwrotu ze stratą 34.000 ludzi. Ale i po stronie francuskiej legło 22.000 żołnierzy, a 9.000 jeńców, 12 chorągwi i 11 dział uprowadzili Austryacy, chociaż byli w odwrocie.

— Zapamiętaj sobie dobrze tę bitwę, kochany Franiu, bo w niej mój ojciec, a twój dziadek, który mieszkał w Brodach, brał udział i o mało co życiem nie nałożył.

— Ach! tatko opowiadał mi o tem — zawołałem — ale nie wiedziałem, że to pod Wagram został dziadek raniony.

— Tak i to podwójnie, bo gdy padł raniony w udo i wraz z innymi rannymi transportowano go na wozie po za linię bojową, zaczęli Francuzi strzelać na konwój rannych, mimo powiewającej na nim chorągwi. Wówczas jedna z kul oderwała dziadkowi 3 palce u prawej ręki.

Podczas tej rozmowy zapadł zmrok zupełny, ale pociąg już był blisko Wiednia. Tysiące i tysiące świateł błyszczało rozsianych na wielkiej przestrzeni i świadczyło o rozległości miasta. Gęsta mgła nad miastem świeciła czerwoną łuną w oddali, a głuchy szmer, dolatujący naszych uszu, dowodził, że mimo spóźnionej pory, życie na ulicach miasta nie ustało.

Koła pociągu zadudniały po moście na Dunaju. Pociąg wpadł po chwili w ulice miasta, z wagonu widać było ruch, panujący na ulicach, słychać było turkot fiakrów, gwar przechodniów, wystawy sklepowe jaśniały rzęsistem światłem i kamienica za kamienicą, gmach za gmachem wyłaniał się z ciemności, by przemknąć przed mym zdziwionym wzrokiem i zniknąć w toni nocy. Wtem jeszcze jeden gwizd przeciągły i za chwilę wjechała maszyna w olbrzymią halę oszkloną, a wypuściwszy ostatnie kłęby pary, zatrzymała się, jak wryta.

— Wien, aussteigen! — wołali konduktorzy, biegnąc od wagonu do wagonu i otwierając drzwiczki przedziałów.

Wysiedliśmy, a oddawszy bilety portyerowi, po dokonanej rewizyi cłowej mego kuferka, bo stryj nic nie miał ze sobą, wsiedliśmy do dorożki.

— Do hotelu Höller! zawołał stryj, a dorożkarz pędem ruszył. Za 10 minut byliśmy na miejscu. Gdy stryj podał swoje nazwisko, zaprowadził nas kelner na I. piętro, do przygotowanego już dla nas pokoju, gdzie jeszcze od wczoraj czekał na stryja z pakunkami jego stary sługa, nieodstępny towarzysz wszystkich podróży, wierny Krzysztof. Nie robił on wstydu swemu patronowi, który, jak legenda

niesie, miał być olbrzymem, bo i nasz Krzysztof był to istny Herkules: krępy, barczysty, gdy stąpał, to podłoga pod nim trzeszczała; nie zazdrościłbym wcale temu, ktoby się dostał w jego żylaste ręce, bo co najmniej miałby kości pogruchatane. Do tego wszystkiego proszę sobie wyobrazić twarz rumianą, o łagodnym wyrazie, otoczoną bujną siwą, brodą, która dziwnie odbijała od czarnej jeszcze czupryny, zwisającej nad czoło, a będziemy mieli obraz Krzysztofa, jak mi się po raz pierwszy przedstawił. Wkrótce byłem z nim na dobrej stopie i nie jedną, mile spędzoną chwilę w podróży, jemu mam do zawdzięczania.

— Teraz idź spać Franiu — zawołał stryj, gdyśmy wstali od wieczerzy — jutro wstaniemy rano, chcę ci pokazać choć kilka osobliwości miasta, a pojutrze wyruszamy w dalszą drogę.

II.

Nazajutrz, po dobrej kawie, którą nam Krzysztof na maszynce ugotował — stryj twierdził, że Niemcy kawy robić nie umieją — wyruszyliśmy na miasto. Było to już po godzinie 9-tej, wstaliśmy bowiem późno. Chciałem wprawdzie zerwać się raniej, lecz widząc, że stryj śpi, również usnąłem ; a gdy przy śniadaniu żałowałem, żeśmy piękny poranek zmarnowali i wcześniej nie wyszli, rzekł mi stryj: „Śpiesz się z rozwagą; lepiej dobrze wypocząć, niż później odczuwać znużenie, bo i tak nogi twoje będą musiały odbyć dziś niejeden kilometr".

Byłem przygotowany na długi marsz przez ulice Wiednia; ale stryj mi oznajmił, że przedewszystkiem zwiedzimy muzea dworskie. Wkrótce też byliśmy u celu naszej wycieczki. Zatrzymaliśmy się na obszernym placu, ozdobionym skwerami. Po jednej i drugiej stronie wznosiły się dwa wspaniałe gmachy.

— Patrz Franiu, są to muzea, które mieszczą w sobie dzieła przyrody i sztuki; gmach po lewej stronie przeznaczony jest na rzeźby i obrazy, gmach z prawej strony pełen jest okazów z dziedziny przyrody. Za mały jeszcze jesteś, abyś mógł ocenić mistrzów pędzla i dłuta, dlatego teraz zwiedzimy tylko dział przyrodniczy, tamten zaś odłożymy na później. Ale mój kochany, czy poznasz, kto to? dokończył stryj, pokazując na pomnik, stojący na środku placu.

— Wszak to Marya Teresa, prawda stryju? — Tak, to jej pomnik, przypatrz mu się lepiej, bo wart tego. Wykonał

go rzeźbiarz Zumbusch i słusznie uchodzi za najpiękniejszy ze wszystkich, we Wiedniu się znajdujących (zob. ryc. 5).

5. Pomnik Maryi Teresy.

Zbliżyłem się skwapliwie, by mu się lepiej przypatrzyć. Wykonany jest cały z bronzu. Na wyniosłej podstawie siedzi cesarzowa na tronie, trzymając berło w ręku, otoczona swymi najznakomitszymi wodzami i mężami stanu. Na czterech rogach pomnika, na pysznych koniach, siedzą, jak mi stryj objaśnił: Laudon, Daun, Traun i Khevenhüller, u stóp cesarzowej zaś widnieje słynny Kaunitz, kanclerz państwa. Najwięcej przypatrywałem się Laudonowi, bo świeżo jeszcze miałem w pamięci dzieje wojny siedmioletniej, w której imię Laudona niejednokrotnie było wspominane, jako zwycięzcy Fryderyka Wielkiego. O nim to czytałem, że odznaczał się nietylko wielką walecznością, ale i wielką brzydotą, tak, że uwzględniając obydwie te rzeczy, mówiono o nim, że lepiej mieć go przy sobie, niż naprzeciw siebie: tak przy uczcie, jak i w bitwie.

Oglądnąwszy pomnik, zwróciliśmy swe kroki do Muzeum przyrodniczego. Już sam gmach jest wspaniały i robi wrażenie imponujące. Nad środkową fasadą umieszczony napis: „Dem Reiche der Natur und seiner Erforschung gewidmet von Franz Josef I.“ wskazuje na jego przeznaczenie (zob. ryc. 6). Więcej niż 100 posągów całkowitych lub popiersi zdobi go na zewnątrz. Używszy lornetki do

6. Muzeum przyrodnicze (z frontu).

pomocy, odczytywałem napisy pod posągami i znalazłem tam prawie wszystkich sławnych przedstawicieli nauk przyrodniczych od Anaksogorasa i Aristotelesa aż do Darwina, chociaż przyznać muszę, że wiele nazwisk było mi całkiem obcych (zob. ryc. 7).

— Czy cały ten gmach jest przeznaczony tylko na zbiory? zapytałem.

— Tak, mój kochany, wiedz, że w parterze, na pierwszem i drugiem piętrze jest po 19 sal, mających w przybliżeniu 4.000 m^2 powierzchni, a zbiory, tu nagromadzone, datują swój początek jeszcze od roku 1748, kiedy Franci-

szek I. zakupił i do Wiednia sprowadził słynne, jak na ówczas, zbiory florentyjskie Jana Baillou. One to, jak również zbiory zoologiczne, zakupione od Natterera, stanowią

7. Muzeum przyrodnicze (z boku).

podstawę dzisiejszych zbiorów, które przez $1^1/_2$ wieku dopełniane, do dzisiejszych urosły rozmiarów. Ale wejdźmy

do środka, a zobaczysz, ile jest tam cudownych rzeczy. Pójdziemy zaraz na I. piętro, bo dół jest zapełniony przedmiotami etnograficznymi, które mniej ciebie obchodzić będą.

Przepyszna klatka schodowa prowadzi na górę.

Wszystko wyłożone marmurami, wszędzie błyszczą złocone ornamenta, a na ścianach widnieją wspaniałe, allegoryczne obrazy.

Weszliśmy do działu mineralogicznego. Cały szereg sal zapełniony był niskiemi szafkami, w których tysiące minerałów nęciło oko: to postacią swych ładnie wykształconych kryształów, to połyskiem lub barwą. Niestrudzenie biegałem od szafki do szafki, nie wiedząc, co pierwej oglądać. Przeszliśmy tak sal kilka; stryj z uśmiechem na ustach patrzał na mnie i nic nie mówił, aż nareszcie odurzony tą wielką ilością otaczających mnie przedmiotów, stanąłem bezradny na środku jednej sali i odezwałem się do stryja:

— Kochany stryjaszku, pomóż mi trochę w oglądaniu, bo widzę, że sam sobie nie dam rady.

— Czekałem na to, bom wiedział, że sam zgubisz się w tej mnogości; są to zbiory tak bogate, że kto chce poznać uwagi godniejsze okazy, musi posługiwać się drukowanymi przewodnikami. Takim przewodnikiem ja będę dla ciebie, bo już kilkakrotnie te zbiory oglądałem i dobrze się z nimi obznajomiłem. Minąłeś n. p. salę poprzednią, rzuciwszy zaledwie tu i ówdzie okiem, wróćmy do niej napowrót, a pokażę ci okaz godny widzenia.

Zaprowadził mnie do stoliczka, który uszedł mojej uwagi. Tu leżał pod kloszem opal szlachetny, wielkości pięści. Cudownie mienił się i lśnił wszystkimi kolorami tęczy.

— Ależ to śliczny okaz — zawołałem z uniesieniem — jakżeż go mogłem przeoczyć.

— Masz słuszność, że śliczny; tę ładną grę kolorów, którą tu widzisz, nazywamy opalizowaniem. Ten opal jest największy, jaki mamy, znaleziono go w Czerwenicy na Węgrzech, a hr. Fejervary, ówczesny dyrektor kopalni, złożył go w darze cesarzowej Maryi Teresie.

— A jakaż może być jego cena? zapytałem zaciekawiony.

— Oceniają go na $^1/_2$ miliona złotych, a nie mniej cenny jest oto ten tu bukiet.

Spojrzałem: obok opalu wznosił się, także pod kloszem szklanym, niewielki bukiet, dość płaski, ale takiego bukietu jeszcze w życiu nie widziałem. Proszę sobie wyobrazić róże, fiołki, astry, niezapominajki — złożone z przecudownych drogich kamieni. Różowe dyamenty, niebieskie turkusy, szafiry, żółte topazy, szmaragdy, wszystko to misternie ułożone w listki kwiatów, lśniło się i mieniło, nęcąc ku sobie oko widza.

— Ten bukiet — objaśnił stryj — to podarunek Maryi Teresy dla swego małżonka Franciszka. Jest on teraz nietylko cennym okazem mineralogicznym, ale ma zarazem i wartość historyczną. W następnej szafce ten zielony szmaragd pochodzi z Santa Fé di' Bogota. Jest on jednym z największych, bo również wielki jest w posiadaniu cesarza rosyjskiego; nim zaś tę salę opuścimy, spojrzyj ku górze. Tam są prześliczne obrazy, odnoszące się do wystawionych tu okazów: Oto kopalnie opalu w Czerwenicy, kopalnie szmaragdów w Habachtal w Salzburgu; ta fontanna, która strumieniem wytryska w górę, to sztuczny i naturalny zarazem wodotrysk, naśladujący ów słynny gejzer w Islandyi.

— Jak to? — zapytałem — więc ten wodotrysk jest peryodyczny, od czasu do czasu tylko tryska w górę?

— Tak jest, w miejscowosci Rank na Węgrzech koło Koszyc dowiercono głębokości 404 m i teraz w przerwach kilkagodzinnych wytryska stamtąd woda, parta bezwodnikiem węglowym, nieraz do wysokości 50 metrów i to przez pół godziny. A teraz idźmy dalej.

I poprowadził mnie stryj przez szeregi sal, w każdej coś ciekawego wskazując i objaśniając kilku słowy. W jednej z sal widziałem możliwie najpiękniej wykształcone kryształy wszelkich układów np.: kulisty 48 ścian dyamentu kryształki chlorytu i kwarcu, tremolit w apatycie i t. d.

W innych salach mieszczą się całe szeregi szafek, zawierających minerały, które pouczają o barwie, połysku, przeźroczystości, twardości i. t. p. własnościach. Śliczny jest między innymi, na $^1/_2$ m. długi rombościan kalcytu, krzaczek żelazokwiecia, bardzo duży, bo także półmetrowy dymnik ze Szwajcaryi. Widziałem piaskowiec z Trembowli, porfir z Miękini, glinę dyluwialną z Pohulanki, piasek mioceński z pod Łyczakowa we Lwowie i inne.

Weszliśmy nakoniec do sali meteorytów. Stryj objaśnił mnie, że to jest najzupełniejszy zbiór, jaki w Europie istnieje, że nawet londyński dorównać mu nie może. Zebrano tu wielką ilość meteorytów z 484 miejscowości, a waga ich ma wynosić przeszło 2000 kg. Ciekawie przypatrywałem się tym różnym bryłkom i odłamom żelaza, które na naszą ziemię spadły z przestworów niebieskich.

— Patrz Franiu, na ten nibyto niepozorny meteoryt; waży on zaledwie 39 kg. i wcale wielkością nie imponuje, a jednak jest tu najcenniejszym okazem.

— Dlaczego? zapytałem zaciekawiony.

— Bo widzisz, mój kochany, jest to ów sławny meteoryt z Hradczyna, który w katalogu meteorytów, przez Czermaka ułożonym, otrzymał Nr. I. Spadł on w powyższej miejscowości, która leży niedaleko Zagrzebia, 26 maja 1751 r. Zjawisko to wywołało ogólne zainteresowanie się, tak, że Marya Teresa poleciła biskupowi zagrzebskiemu, by według opowiadania naocznych świadków zjawisko to dokładnie opisał, a meteoryt przesłał do Wiednia. Otóż okazało się, że wieczorem tego dnia około 6-tej ukazała się nad miejscowością ognista kula, która z wielkim hukiem pękła na dwa kawały, jeden z nich z taką siłą wpadł w ziemię, że zarył się w nią głębiej niż na metr. Obydwa kawałki przesłano rzeczywiście do Wiednia: jeden z nich gdzieś się zatracił, a drugi, to ten, na który patrzymy. Jest to pierwszy meteoryt, którego data spadnięcia historycznie stwierdzoną została.

Tam dalej znowu widzisz olbrzymi meteoryt z Kniahyni na Węgrzech. Rozpryśnięty na kilka części, waży 300 kg. Jego spadek przedstawiony jest w obrazie naprzeciw okna.

Spojrzałem, rzeczywiście malarz przedstawił tę miejscowość, która musi się w górach znajdować, bo góry lesiste stanowią tło obrazu, a ognista smuga na niebie, to pewnie ten meteoryt.

— Wszystko to ładne, na tym obrazie, ale powiedz mi stryju, czy to wiernie przedstawione; przecież meteoryt nie czekał, aż malarz rzuci szkic na papier. Co do mnie, bardzo wątpię w prawdziwość obrazu.

— Nie wątp tak prędko; jeden ze świadków naocznych pod wrażeniem pierwszem naszkicował zjawisko i rycina pojawiła się wkrótce potem w jednem z naukowych czasopism, a malowidło jest kopią tejże.

Oglądając się po sali, zobaczyłem na jednej szafie meteoryt olbrzymi, większy niż połowa katedry w klasie naszej.

— Stryju, czy to także meteoryt? taż to musi być niezmierny ciężar, jakżeż szafa wytrzyma taki nacisk?

Uśmiechnął się stryj na tę moją uwagę i objaśnił mnie, że to tylko model gipsowy meteorytu, który w Chupateros w Meksyku znaleziono. Składa się z dwóch kawałków, które razem ważą 25.000 kg.

— Ach — zawołałem — jakże to musi być cudowne zjawisko, taki spadający meteoryt, chciałbym choć raz w życiu coś takiego zobaczyć!

— Czyś nigdy nie widział coś podobnego?

— Nie!

— Nie?... Otóż widzisz, że nie prawda. Wieczorem musiałeś przecież widzieć spadające gwiazdy.

— Co to, to widziałem, przecież w nocy z 13 na 14 listopada lub między 9—13 sierpnia całe roje ich zobaczyć można.

— Otóż widzisz, mój kochany, to są także meteoryty, tylko tak małe, że lecąc przez naszą atmosferę, spalają się w zupełności.

— A dla czego one się tak rozpalają?

— Te bryłki małe pędzą w przestworzu niebieskiem z niesłychaną szybkością, krążąc, jak się zdaje, koło słońca. Chyżość ich wynosi do 7 mil w sekundzie. Gdy więc meteo-

ryt przerzyna naszą atmosferę, ta stawia mu wielki opór, szybkość maleje a ubytek ruchu przechodzi w ciepło i rozpala meteoryt.

— A skądże pochodzą one? pytałem dalej.

— Mój kochany! — odpowiedział stryj na to — któż to może wiedzieć? Astronomowie przypuszczają, że meteoryty wchodziły kiedyś w skład komet, których części składowe są tak rzadkie, że przez nie można widzieć gwiazdy. Komety krążą naokoło słońca, a gdy droga której prowadzi nadto blisko tej olbrzymiej gwiazdy, natenczas siła przyciągająca słońca rozciąga substancyę komety i to do tego stopnia, że wreszcie kometa rozsypuje swe meteoryty na całej swej drodze i przez to staje się niewidoczną, bo przestaje istnieć. Meteoryty natomiast krążą dalej naokoło słońca; gdy jednak zbliżą się do ziemi i zetkną się z atmosferą, następuje wspomiane zjawisko. W listopadzie zjawisko to jest dlatego częstsze, że wtedy ziemia nasza przerzyna drogę r o j u meteorytów, zwanych Leonidami, a co 33 lata natrafia na główne ich jądro. Wówczas tysiące a tysiące spadających gwiazd ujrzeć można; takiego czasu bowiem potrzebuje ten rój, by odbyć drogę naokoło słońca i skrzyżować się z drogą naszej ziemi.

— A kiedyż to było ostatni raz?

— W roku 1866, więc w 1899 powtórzy się to zjawisko w nocy z 13 na 14 listopada i jeżeli będziemy mieli noc pogodną, to warto mu się przypatrzyć.

— Ale zagadaliśmy się o meteorytach, a czas nagli, chodźmy dalej.

Prędko minęliśmy następne sale, wypełnione odciskami roślin, rosnących przed tysiącem lat na naszej ziemi i skamienilinami zwierząt, które ożywiały ówczesne morza i lądy. Na niejeden okaz zwrócił mi stryj uwagę, lecz już dobrze tego nie pamiętam; więcej została mi w pamięci ostatnia sala tych zbiorów, bo widziałem tam całkowite szkielety olbrzymich ptaków i zwierząt ssących, które dziwnym sposobem tyle wieków w nieuszkodzonym stanie w ziemi przeleżały.

Byłem już bardzo zmęczony, kiedy opuściliśmy te zbiory. Sądziłem, że już idziemy do domu, ale stryj ani myślał o tem; poprowadził mnie teraz wyżej, do sal, w których były zbiory zoologiczne.

Były one dla mnie bardziej zajmujące, niż poprzednie. Zwierząt wypchanych, przechowanych w słojach lub zasuszonych wielkie tu mnóstwo: Tu wabił oko pyszny zbiór korali; tam wspaniałe okazy rozgwiazd i jeżowców morskich przykuwały uwagę do siebie, a śliczne kształty i barwy skorup ślimaczych i małży zniewalały do dłuższego zatrzymania się. Zachwycony, biegałem od szafki do szafki, nie mogąc się nasycić widokiem tego wszystkiego.

Zatrzymałem się nareszcie przed olbrzymią muszlą, mającą zwyż metr długości.

— Czyja to skorupa? — zapytałem stryja — jakiż to olbrzymi musiał być mięczak, który wypełniał kiedyś tę skorupę?

— Jest to małż morski — brzmiała odpowiedź — jeden z największych. Nazywa się przydacznią, a skorup jego używają nieraz na chrzcielnice. Ale chodźno do tej gablotki i przypatrz się skorupie tego ślimaka, przyczem pokazał mi stryj niewielką, zaledwo na decymetr długą skorupę ślimaczą, skręconą jak korkociąg.

— A cóż na niej jest tak ciekawego? przecież jest wiele innych ładniejszych.

— To jest „krętochód indyjski“; niema na nim nic szczególnego, ale dawniej, z powodu swej rzadkości, dochodziła cena jednego egzemplarza do kilku tysięcy złotych, dziś zaś za kilka koron otrzymasz śliczny okaz.

A teraz, mój kochany, chodź do tej małej salki. Widzisz tu zbiór skorupiaków, masz tu ładne okazy raków, pajęczaków, wij, nie będą cię one jednak zbyt interesowały. Ale patrz, tam na ścianie wisi największy okaz raka; jest to krab, podobny do tego jeżokraba, którego i w małych gabinetach zoologicznych nie brak; długość jego nożyc dochodzi do 2 m. Po łacinie nazywa się „Macrocheira“, ale ten tu okaz jest unikatem co do swej wielkości.

Lecz pójdziemy dalej.

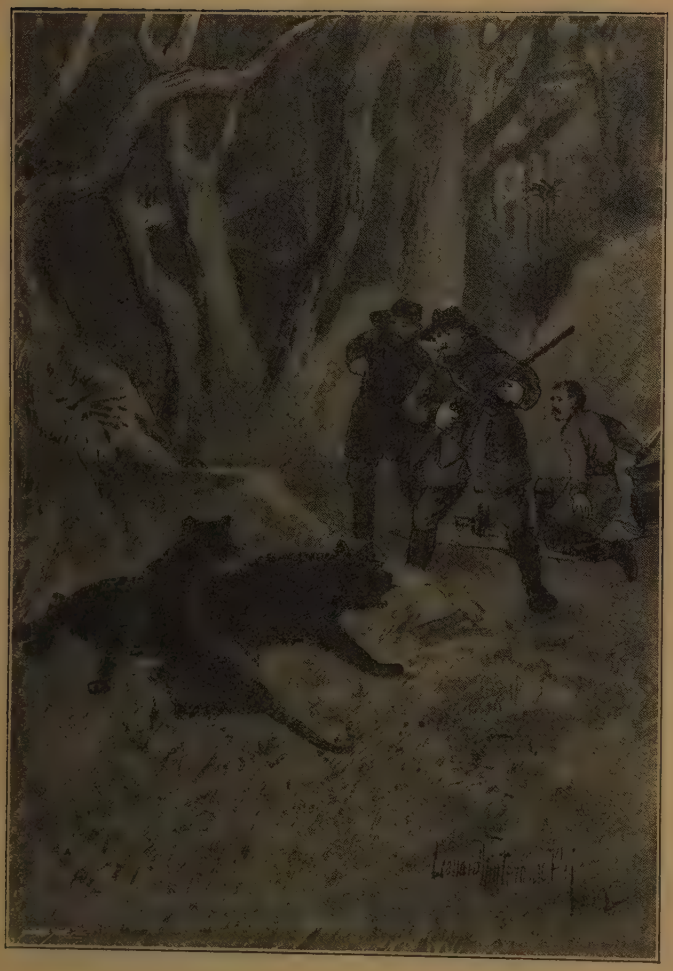

8. Spotkanie z czarną panterą.

Weszliśmy do sali, gdzie były same ryby: tak w słojach jak i wypchane. Mnóstwo tam było nagromadzonych gatunków: widziałem wielkie jesiotry, mieczniki o szczęce przedłużonej w mieczowaty wyrostek, piły morskie o szczęce górnej wydłużonej i zębatej jak piła, suma elektrycznego z Nilu, który z pewnością przeszło 100 kg. ważył, rekiny do kilku metrów długie i wiele innych okazów. Trzy wielkie sale wypełnione były wyłącznie rybami. Weszliśmy następnie do sali ptaków.

Tutaj, na samym wstępie, zobaczyłem gniazdo orła bielika, umieszczone umyślnie, by dać pojęcie, jak wygląda gniazdo drapieżców, które gnieżdżą się na wysokich skałach i niedostępnych urwiskach. W szafach błyszczało i lśniło się od barw wszelakich, jakiemi ptaki swe pierze ustroiły, brak tylko było świergotu, by złudzenie, że mamy przed sobą prawdziwe okazy, było zupełne.

Stryj zwrócił moją uwagę na to, że dział ten jest o tyle ciekawszy, iż tutaj z każdego gatunku są liczne okazy: raz dlatego, że każdy z nich pochodzi z innej okolicy lub z innego kraju, świadcząc o geograficznem rozmieszczeniu danego gatunku, a potem dlatego, aby można było poznać różnicę w upierzeniu pojedyńczych osobników według wieku i pory roku. Nie zapomniano także prawie nigdzie o gnieździe. Tak oglądając, przeszliśmy salę ptaków i doszli do sali zwierząt ssących.

Widziałem teraz okazy takie, które więcej były mi znane: bądź z obrazów, bądź z opisów. Nie potrzebowałem zadawać pytań stryjowi, bo poznawałem sam prawie wszystkie ważniejsze ssaki. Przed czarną panterą z wyspy Jawy zatrzymał mnie stryj i rzekł:

— Widzisz, mój kochany, taka pantera jak ta, omal przed dwoma laty zębami swymi nie pozbawiła mnie życia.

— Co stryj mówi, toż to gatunek dosyć mały; czyż mógłby zagrażać życiu ludzkiemu?

Jakżesz to było? proszę mi opowiedzieć.

— Dobrze, siadajmy tu na kanapce, zapewne już od długiego chodzenia bolą cię nogi.

Usiedliśmy na kanapce pod oknem, a stryj rozpoczął opowiadanie:

„Przed dwoma laty bawiłem na Jawie. Jest to wyspa, jak wiesz zapewne, na Oceanie indyjskim, jedna z najpiękniejszych na świecie, prawie dwa razy tak wielka, jak Galicya. Górzysta okolica, pokryta lasami, klimat przyrównikowy sprzyja rozwojowi zwierząt. Ssawców jest tam 90, a ptaków do 270 gatunków; pomijam faunę owadów, która jest tu najbogatszą i najśliczniejszą z całego świata. To wszystko zniewoliło mnie do dłuższego pobytu na tej uroczej wyspie. Chciałem upolować choć kilka bantenggów, t. j. dzikich bawołów i choćby jednego nosorożca, a także miałem ochotę wydrapać się przynajmniej na jeden wulkan, a może szczęśliwszym trafem być przy jakim wybuchu, bo na Jawie o to nietrudno, jest tam bowiem wiele czynnych wulkanów.

Mieszkałem w Buitenzorg. Jest to miasto, leżące u stóp wulkanu Salak, w uroczej okolicy, oddalone od stolicy jawańskiej Batawii mniej więcej tak daleko jak Kraków od Lwowa. Nawiasem mówiąc, jest w tem mieście jeden z najpiękniejszych ogrodów botanicznych, a z powodu swego położenia w górzystej okolicy jest miejscem schronienia mieszkańców Batawii przez kilka najgorętszych miesięcy roku. Z miasta tego wybierałem się kilkakrotnie z jednym tylko przewodnikiem i z moim Krzysztofem na polowania, które moje trofea myśliwskie powiększyły już o parę rogów bantengga.

Wzięła mnie chętka popróbować zręczności w polowaniu na nosorożce. Nie są one tak wielkie, jak indyjskie, ale zawsze to rzecz niebezpieczna dostać się pod róg takiej rozjuszonej bestyi.

Wybrałem się tedy w towarzystwie Krzysztofa i przewodnika na takie polowanie. Ponieważ moczarowata okolica, w której nosorożce przebywały, była o spory kawał drogi oddalona, mieliśmy skoro świt wyruszyć.

Z początku wiodła droga wśród plantacyi kawowych, potem popod cieniste drzewa chinowe, które sprowadzone, przed

40 laty, udają się tam wyśmienicie, aż nareszcie weszliśmy w zarośla bambusowe.

Prędko postępywaliśmy naprzód, bo ścieżka, wiodąca przez nie, była wygodną i całkiem przez wysokie bambusy ocienioną. Szliśmy tak przez godzinę, okolica stawała się coraz dziksza, zwłaszcza, gdy chcąc się wydostać prędzej z zarośli, zboczył przewodnik ze ścieżki i prowadził nas przez gąszcze. Doszliśmy tak do okolicy skalistej, gdzie rozpoczynał się przepaściasty wąwóz, prowadzący, jak przewodnik twierdził, wprost na legowisko nosorożców. — Tu musimy się posilić — zaproponował przewodnik. Chętnie przystałem na to, bo kilkugodzinny marsz znużył nas niezmiernie.

Ułożyliśmy się pod wysoką skałą. Krzysztof rozłożył jedzenie i podczas, gdyśmy smacznie zajadali, przewodnik dawał mi praktyczne wskazówki, jak się mam zachować, gdy spotkamy się z nosorożcem.

— Ostrożnie master się zbliży, unikając najmniejszego szelestu, a mierzyć będzie niżej ucha, tam kula z pewnością do głowy się dostanie, bo gdzieindziej, to skóra twarda jak kamień, nie do przebicia. Gdyby nosorożec był tylko raniony, to z wściekłością rzuca się na napastnika, a wtedy tylko ucieczka uratować nas może. Pomimo bowiem swojej pozornej ociężałości i niezgrabności dopędzi nosorożec i konia w galopie. Jedynym wówczas ratunkiem jest skoczyć w bok, zwierzę przeleci w zaślepieniu obok, a wtedy.....

Tu urwał nagle przewodnik, widziałem jak z jego smagłej twarzy zbiegła krew, wyciągnął rękę i zaledwie wykrztusił ze siebie słowo: „tam“. Zerwałem się na równe nogi i chwyciłem za sztuciec, leżący obok i podskoczyłem parę kroków naprzód. We wskazanym kierunku, w gęstwinie, błyszczały rzeczywiście dwa zielone punkty, a oko, oswojone z półcieniem, rozróżniało czarny, lśniący włos pantery, która, przyczajona, gotowała się do skoku. Widząc, skąd grozi niebezpieczeństwo, odzyskałem krew zi-

mną i postąpiłam jeszcze, by być pewniejszym, dwa kroki naprzód, złożyłem się i huknął strzał (zob. ryc. 8).

Tego, co po strzale nastąpiło, nie pamiętam dobrze; przypominam sobie tylko jak przez mgłę, że pantera podskoczyła i runęła na ziemię, ale w tej samej chwili niemal otrzymałem z boku straszne uderzenie, padłem twarzą o ziemię, coś się zwaliło na mnie, usłyszałem okrzyk trwogi moich towarzyszów, uczułem jeszcze, że gorąca krew strumieniem mnie oblała i straciłem przytomność.

Gdym przyszedł do siebie, leżałem pod tą samą skałą, a poczciwy Krzysztof krzątał się koło mnie. Dokuczał mi tylko mały ból w plecach, zresztą czułem się całkiem zdrów, chociaż krwią zbroczony.

Usiadłem, podniósłszy się powoli i zapytałem:

— Co się stało? gdzie pantera?

— Ot tam, chwała Bogu, że wszystko tak szczęśliwie poszło.

Spojrzałem za siebie. Opodal od nas leżały cielska dwóch panter. Zdziwiony, zwróciłem się do Krzysztofa, by mi wytłómaczył, skąd się druga wzięła i dowiedziałem się, że w chwili, gdy padł strzał, znienacka druga pantera, zaczajona z boku, rzuciła się na mnie, powaliła o ziemię i byłbym straszliwie pokaleczony, gdyby nie przytomność Krzysztofa, który w mgnieniu oka zerwał się, przyskoczył i nożem myśliwskim tak celnie w bok panterę uderzył, że ta padła trupem, oblewając mnie swą posoką.

Uścisnąłem serdecznie dłoń tego, który mnie od niechybnej śmierci wybawił, bo poszarpany przez panterę, jeżeli nie teraz, to pewnie później byłbym uległ ranom, które przez koty drapieżne zadane w gorącym klimacie, z wielką trudnością się goją i najczęściej są przyczyną śmierci.

Okazało się, że to był samiec i samica, a idąc za śladami, doszliśmy po drugiej stronie skały do małej rozpadliny, w której było ich legowisko, a w niem dwoje młodych panter. Teraz dopiero zrozumieliśmy, dlaczego obie pantery na nas się rzuciły.

Ponieważ miałem na plecach kilka ran od pazurów, które zaczęły mi bardzo dokuczać, musieliśmy wracać i tak skończyło się moje polowanie na nosorożce.

— Ale — dodał stryj, spoglądnąwszy na zegarek —

9. „Ringstrasse“ we Wiedniu.

godzina trzecia już się zbliża, musimy się czemś posilić, więc pójdźmy na obiad“.

Z żalem opuszczałem muzeum, wiedząc, ile to jeszcze ciekawych rzeczy można było oglądnąć, ale rzeczywiście

pora była spóźniona, a żołądek dopominał się praw swoich.

Po obiedzie wyszliśmy znowu na miasto, by skorzystać z kilku godzin dnia i rozglądnąć się jeszcze po Wiedniu.

Na ulicy, t. zw. „Ringstrasse“ (zob. ryc. 9), która powstała na miejscu dawnych wałów i rowów i otacza śródmieście pasem 50 m. szerokim, pokazał mi stryj pałac parlamentu, zbudowany w stylu greckim (zob. ryc. 10). Idąc dalej przez Ringstrasse, przyszliśmy przed ratusz miejski (zob. ryc. 11). Wspaniała to budowa, jedna z największych w tej dzielnicy. Nie mogłem oczu oderwać od pysznego frontu tego gmachu. Ma on długości 154 m, sze-

10. Gmach parlamentu.

rokości 124 m, stanowi więc prawie zupełny kwadrat, obejmujący w sobie 7 podwórzy. W środku fasady głównej wznosi się wieża, przeszło 100 m wysoka, a po bokach wystrzela w górę jeszcze 6 mniejszych (zob. ryc. 12).

— Jeżeli tylko czas pozwoli, zwiedzimy wnętrze tego gmachu — rzekł stryj do mnie, widząc wielkie zainteresowanie się moje ratuszem. Zobaczysz wtedy olbrzymią salę przyjęć gremialnych, a co najważniejsza, zwiedzimy zbrojownię, mającą nie jeden ciekawy okaz dawnej broni, począwszy od XV. wieku. Szczególnie dla nas ma jeden przedmiot wielką siłę przyciągającą. Jest nim czaszka, któ-

ra miała być głową słynnego Kara Mustafy, pobitego sromotnie przez króla Jana III. A teraz chodźmy dalej.

— Nie wie też stryj, ile mogło kosztować wybudowanie takiego gmachu? spytałem.

— Nie mniej, nie więcej, jak 15,000.000 złr. Prawda, że piękna to suma, odpowiadająca wielkości budynku, który stawiano lat dziesięć. Zbudował go Franciszek Schmidt, słynny podówczas budowniczy wiedeński.

Tak rozmawiając, szliśmy dalej, minęliśmy uniwersytet, także gmach wspaniały, a stryj zwrócił moją uwagę

11. Ratusz wiedeński.

na stojący obok kościół, zwany „Votivkirche“, zbudowany na pamiątkę szczęśliwego ocalenia cesarza austryackiego od zamachu, którego chciał dokonać zbrodniarz w roku 1853. Kościół ten, to jedna z najpiękniejszych budowli stylu gotyckiego i jedna z najpiękniejszych ozdób miasta Wiednia. Z daleka widziałem tylko dwie śliczne wieże, wysokie do 100 m. Ich dachy przedstawiały się, jak gdyby z kamiennych koronek były wykonane. Między wieżami wznosił się wspaniały portal, ozdobiony licznemi rzeźbami (zob. ryc. 13).

12. Widok ogólny na część „Ringstrasse“.

Niedaleko tego kościoła weszliśmy w wązkie ulice śródmieścia, świadczące, że istniały one już wtedy, gdy Wiedeń był twierdzą i odpierał najazdy tureckie. Teraz,

13. Kościół wotywny.

ozdobione pysznemi wystawami sklepów, składały dowód wysoko rozwiniętego handlu i przemysłu. Jedna z szerszych ulic nazywa się „Graben“ i powstała na jednym z placów

fortecznych. W środku tej ulicy wznosi się wspaniała kolumna, ozdobiona figurami Trójcy Świętej, a zbudowana przez cesarza Leopolda I na pamiątkę zarazy morowej, która w 1649 r. Wiedeń nawiedziła. Graben prowadzi na plac św. Szczepana Tu obaczyłem zblizka ową słynną wieżę katedry św. Szczepana, wysoko wniesioną w górę

14. Kościół św. Szczepana. Katedra.

ponad inne gmachy śródmieścia. Wieża ta, z początku szeroka, zwęża się ku górze coraz bardziej, aż wreszcie smukłą wieżyczką zdaje się ginąć w obłokach (zob. ryc. 14).

— Ileż ma metrów? zapytałem stryja.

— 138 m. i jest najwyższą w całej Austryi, chociaż nie w Europie. O jej wysokości nabierzesz wyobrażenia

jeżeli ci powiem, że trzeba dwie wieże Maryackie ustawić jedną na drugiej, by dosięgnąć tej samej wysokości.

— O! jakżesz mała jest nasza wieża ratuszowa w Przemyślu, skoro ma zaledwo 50 m. wysokości.

— A przecież są jeszcze wyższe wieże kościelne n. p. katedry strasburskiej mająca 141 m. i tumu kolońskiego mająca 155 m.

— Ale wieża Eifel w Paryżu jeszcze jest wyższą?

— Bez wątpienia; wysokość jej wynosi 300 m. Jest to dotychczas najwyższa budowa na świecie.

Chociaż zdziwisz się, gdy ci powiem, że n. p. w Freiburgu w Saksonii zbudowano komin fabryczny, wysoki na 140 m. a więc o 2 m. wyższy od wieży św. Szczepana.

— Czy być może? — zawołałem zdziwiony — a na cóż im był potrzebny tak wysoki komin, kiedy i mniejszy funkcyonowałby należycie?!

— A przecież pewien cel przez to osiągnięto. Nie na darmo wydano wiele pieniędzy na wybudowanie tak wysokiego komina. Użyto nań samych cegieł zwyż 1,000.000 sztuk, a na obręcze ochronne 305 ctr. żelaza. Im komin jest wyższy, tem lepszy jest ciąg powietrza, tem prędzej spala się węgiel w piecach; nadto wysokość znaczna komina stanowi ochronę dla najbliższej okolicy przed dymem i trującymi gazami fabrycznymi, które tędy uchodzą w górę.

— Ciekawym jeszcze kochany stryju, jak długo budowano tę katedrę wraz z tą wieżą?

— Łatwo mogę twą ciekawość zaspokoić. Budowę zaczęto w roku 1300 a skończono ją w ciągu 150 lat, chociaż każdy wiek następny przyczynił się jakąś przybudową. Wieżę zaczęto budować w 50 lat później a jej budowa trwała niespełna 100 lat. Ciekawy jest dzwon, zawieszony na niej a ulany ze zdobytych w r. 1683 dział tureckich, ważący przeszło 22.000 klgr.

Wśród takiej rozmowy przeszliśmy naokoło plac św. Szczepana. W rogu jednej kamienicy pokazał mi stryj jeszcze słup drewniany, w którym było pełno żelaznych

15. Koło olbrzymie.

gwoździ, powbijanych tak gęsto, że prawie jeden na drugim siedział; słup ten nazywa się dlatego „Stock im Eisen“. Przywiązane są do niego różne legendy, z których kilka mi stryj opowiedział.

Wieczór spędziliśmy w Praterze, ulubionem miejscu spacerowem Wiedeńczyków. Widziałem tam naśladowaną Wenecyę, z jej kanałami, mostami, placami i starymi budynkami. Punktem jednak przyciągającym było dla mnie olbrzymie koło żelazne o średnicy, wynoszącej niemal 70 m; na obwodzie tego koła pozawieszane były wagony. Do nich wsiadało się i na dany znak dzwonkiem niewidzialna siła elektryczna wprawiała w ruch to koło olbrzymie, a wagony jeden po drugim wznosiły się do góry, by nadpowietrzni podróżni mogli z tej znacznej wysokości nasycić się widokiem Wiednia (zob. ryc. 15). I ja doznałem tego wrażenia. Widziałem miasto u stóp swoich, widziałem połyskujący w oddali o zmroku wieczornym olbrzymi łuk, który Dunaj zatacza i kanał, przecinający miasto, jakby cięciwa, łącząca ostatnie końce dunajowego łuku. Po nad morzem kamienic strzelały do góry wieże kościołów, a nadewszystko wieża św. Szczepana. Tam w oddali, ginąc w mglistej pomroce, czerniła się góra Kahlenberg, pamiętna dla nas tem, że tędy w roku 1683 zeszło wojsko polskie pod wodzą Sobieskiego, by nieść pomoc zagrożonemu przez Turków Wiedniowi.

Po prawej stronie miałem Prater. Liczne lampy, umieszczone wśród zieleni, oświetlały grupy gości, rozsiadłych koło stolików. W pośrodku Prateru wznosiła się rotunda, kolosalny gmach, kopułą olbrzymią zakończony, pozostałość po ostatniej wystawie wiedeńskiej.

Jeszcze nie nasyciłem się tym widokiem, gdy wagon, w którym się znajdowałem, zaczął powoli opadać i Wiedeń znikł mi z przed oczu.

III.

Nazajutrz pociąg pośpieszny unosił mnie, stryja i Krzysztofa w dalszą podróż. Widząc liczne kuferki, którymi się Krzysztof opiekował, zapytałem stryja, dokąd jedziemy?

Stryj krótko mi odpowiedział:

„Tymczasem na południe, do Tryestu".

Odpowiedź ta zupełnie mnie zadowoliła. Będę więc nad modrym Adryatykiem, zobaczę nareszcie morze, o którem tylokroć marzyłem. Zresztą sama droga południową koleją jakżeż ma być cudowną. Niedawno, bo miesiąc temu, uczono nas przecież statystyki i prawie wszystkie główniejsze miasta, rzeki, góry, przez które przejeżdżać będziemy, tkwiły mi jeszcze świeżo w pamięci. Już naprzód radowałem się w duszy widokami, które miałem zobaczyć.

Tymczasem pociąg pędził dalej, szybko mijaliśmy stacyę za stacyą. Po półgodzinnej jeździe minęliśmy Mödling, za godzinę byliśmy w Baden, miejscu kąpielowem i wycieczkowem Wiedeńczyków. Po prawej stronie ciągną się urocze pagórki i łańcuch nizkich gór, pokrytych winnicami lub lasami. Stryj mówił mi wyraźnie, że jedziemy obok lasu wiedeńskiego. Coraz bliżej przed nami rysowały się Alpy wapienne austryackie. Nareszcie minęliśmy Wiener Neustadt z akademią wojskową i dotarliśmy nakoniec do Glognitz. Przed nami wznosiła się dzika i urwista góra Raksalpe, wysoka na 2.000 m; znajdowaliśmy się wśród Alp: już od Glognitz począwszy, jechaliśmy wśród samych gór. Zaraz za stacyą zatoczył pociąg wspaniały łuk po nad doliną, a serpentyna była tak wielką, że

po drugiej stronie, równolegle do naszego, piął się pod górę drugi pociąg: podążaliśmy za nim. Droga urocza wiodła to pysznymi wiaduktami, to ponad przepaściste wąwozy alpejskie, to przez gęste lasy, to przez krótkie tunele, wyżej, coraz wyżej, w krainę alpejską, aż nareszcie, minąwszy zwaliska zamku Klamm, dosięgliśmy stacyi Semmering (zob. ryc. 16).

16. Wiadukt w Semmering.

Na tablicy, umieszczonej na stacyi, przeczytałem liczbę 897 m, oznaczającą wysokość, na której znajdowaliśmy się obecnie. W wagonach pozapalano lampy, bo mieliśmy przejeżdżać przez najdłuższy tunel, ma on 1.428 m. Nawiasem mówiąc, wszystkich tuneli naraehowałem tutaj 15, a wiaduktów 16.

Jechaliśmy przez ten tunel zaledwo 7 minut. Z początku sunął się pociąg powoli w górę, ale w połowie drogi, gdyśmy dotarli najwyższego punktu, rozpoczęła się szalo-

nym pędem jazda w dół i wkrótce wyjechaliśmy z tunelu, by dalej pędzić ku Mürzzuschlag, pierwszej stacyi styryjskiej. Odtąd tor kolejowy trzymał się stale doliny rzeki Mury. Tak dojechaliśmy do Gracu, położonego w uroczej dolinie tej rzeki. Stolica Styryi, widziana ze stacyi, przedstawia się ładnie; żałowałem, że nie zatrzymaliśmy się tutaj dłużej, ale stryj, gdym mu o tem wspomniał, odpowiedział, że dzień dzisiejszy jest przeznaczony na podróż. Ruszyliśmy więc dalej: Minąwszy Marburg, przejechaliśmy przez rzekę Drawę, by wkrótce dostać się w dolinę Sawy a nią do Lublany, stolicy Krainy. Co chwila przejeżdzaliśmy większy lub mniejszy tunel, okolica stawała się coraz dzikszą, coraz bardziej ogołoconą z lasów: kamieniste wzgórza, lejkowate doliny, tu i ówdzie krzaki jałowcu, lub karłowate drzewa, nigdzie pola urodzajnego, sam kamień wapienny, a w około skały, lub olbrzymie góry — oto obraz okolicy, przez którą pędził pociąg. Wiedziałem, że to Kras, owe pasmo górskie, pełne jam, rozpadlin, jaskiń, ze swemi wodami podziemnemi, ogołocone z żywej zieleni lasów, gdzie z wielkim trudem tutejsi mieszkańcy kawałek urodzajnej ziemi zdobyć sobie usiłują.

Zaczęło się już ściemniać, gdy przyjechaliśmy na malutką stacyę.

— Adelsberg, Postojna, krzyknął konduktor.

Stryj się zerwał i kazał mi wysiadać.

— Przecież to nie Tryest, zawołałem.

— Nic nie mów, tylko wysiadaj czemprędzej.

Usłuchałem, z trzeciej klasy wysiadł także Krzysztof, jednak bez pakunków. Widocznie przerwa w podróży była już z góry postanowiona, chociaż miała być krótszą.

Wsiedliśmy do omnibusu i wyjechaliśmy z dworca, podczas gdy pociąg, pożegnawszy nas przeciągłym świstem, ruszył dalej na południe.

— Dlaczegoż zatrzymaliśmy się tutaj? zapytałem stryja.

— Czyż nie uczyłeś się o grocie Postojny, o jej słynnych stalaktytach, o jej salach podziemnych? Jakżesz mo-

głem opuścić sposobność tak dobrą i nie pokazać ci tych cudów przyrody.....

17. Widok Postojny.

Patrz, tu w dolinie rzeki Poik leży Postojna, czyli jak ją Niemcy tutejsi przezwali, Adelsberg (zob. ryc. 17). Ta mała góra obok, to góra Sovič; na jej szczycie są ru-

iny zamku, który tu niegdyś się wznosił i od pioruna zapalony, zgorzał, pod górą zaś są owe słynne na całą Europę pieczary. Widzisz tam w oddali tę olbrzymią górę, to Nanos, 1300 m. wysoka, a tam na południu, nad pagórkami Krasu, to niebieskie niebo jest odbiciem modrego Adryatyku, do którego stąd blisko.

Patrzyłem na to wszystko zaciekawiony, ciesząc się, że znów coś nowego zobaczę. Niestety, nie przeczuwałem, jak straszna przygoda czekała na mnie w Postojnie. Na jej wspomnienie przejmują mnie jeszcze teraz dreszcze i chyba do końca życia nie zapomnę doznanych tu wrażeń.

Stanęliśmy w „hotelu narodowym“, a na drugi dzień wybraliśmy się dla zwiedzenia groty. Już przedtem zaopatrzył się był Krzysztof w bilety wstępu, dość drogie, bo 5 koron od osoby wynoszące.

Z miasteczka prowadzi, długa na kilometr, aleja do stóp góry Sovič. Przed wejściem do groty mały gaik zapraszał nas do odpoczynku. Usiedliśmy na ławce. Prócz nas było tam jeszcze kilkanaście osób, a ciągle jeszcze nowi goście przybywali. Ponieważ wejście było naznaczone na $10^1/_2$, więc miałem czas rozglądnąć się wokoło. Przedemną widniał czarny otwór w skale: to wejście do groty, zamknięte żelazną sztachetową bramą. Po lewej stronie wejścia w znacznej wysokości słychać było szum wody; podbiegłem i spojrzałem w dół. Był to Poik, który, hucząc po kamieniach, wpadał bocznym otworem w górę.

Stałem, oparty o balustradę i patrzyłem na to dziwne zjawisko, gdy usłyszałem za sobą pytanie:

„Paniczu, a cóż się z tą rzeką w górze staje? Dotychczas zawsze widziałem, że rzeczka mniejsza wpada do większej, a ta do morza, ale pierwszy raz widzę, że rzeka i do ziemi wpadać może“.

Tak mówił Krzysztof, który stanął za mną, a ja, zawstydzony, nie umiałem mu odpowiedzieć, bo sam nie wiedziałem, a czułem że wiedzieć powinienem. Przecież w statystyce była zapewne mowa o tem, nadto przypomniałem sobie dobrze, że i zeszłego roku w trzeciej klasie profesor

historyi naturalnej mówił nam wiele o Postojnie. Gdy wahałem się z odpowiedzią, rzekł Krzysztof:

„Bo ja sądzę, paniczu, że tam pod ziemią musiało się już duże utworzyć morze takie, jakie są na ziemi".

— Masz słuszność Krzysztofie, tak, tak czytałem nawet w jednej powieści Vernego pod tytułem: „Do środka ziemi", że tam jest olbrzymie morze a nawet bohater powieści na tratwie płynął.

— Et, bajki paniczu, jakimże sposobem mógł on tam się dostać do środka, i pływać na tratwie po morzu?

— Verne nie kłamie — odparłem z godnością — wygasłym wulkanem można się dostać do wnętrza ziemi, a że morze takie podziemne istnieje, tego najlepszym dowodem jest ta rzeka.

— Ta to prawda paniczu, jak panicz czytał o tem, to musi być prawda, bo nie drukowaliby kłamstw w książce.

— Czy raz drukują, wmieszał się do naszej rozmowy stryj, który od chwili stał przy nas i rozmowie naszej się przysłuchiwał. Na to się uczymy, by fałsz od prawdy odróżnić. Mórz takich, o jakiem Verne wspomina, pod ziemią niema, a rzeczka ta, która wpada tu, do tej jaskini, płynie podziemnem łożyskiem dalej i w niedalekiej stąd miejscowości, Planiną zwanej, przez którą nawet przejeżdżaliśmy, wypływa napowrót i płynie dalej, tylko, nie nazywa się już Poikiem, ale Unką.

Tu przerwał stryjowi przewodnik, który oznajmił, że zaraz wchodzimy do groty. U wejścia zebrało się więcej niż 60 osób. Przewodnicy zapalali lampy, otwarto bramę a my, oddawszy bilety, poczęliśmy wchodzić pojedynczo w wązki i długi kurytarz. Chłód nas ogarnął, w milczeniu postępowaliśmy naprzód. Po chwili zwrócił się kurytarz w prawo i nagle, gdyśmy zakręt minęli, ogarnęły nas potoki elektrycznego światła: znaleźliśmy się w obszernej jaskini, zwanej katedrą.

Przed zdumionym mym wzrokiem roztaczała się olbrzymia grota, na kilkadziesiąt metrów wysoka. Byliśmy w połowie tej wysokości, na pewnego rodzaju ganku skal-

nym, opatrzonym żelazną balustradą. Na długim żelaznym drągu, wsuniętym w jaskinię, wisiała lampa elektryczna; dotokami światła obrzucała strop, z którego na dół zwie-

18. Most podziemny (z groty Postojny).

szały się liczne stalaktyty, wyglądające jak sople lodu. Ściany lśniły się milionami iskier, bo w kryształkach kalcytu odbijały się tysiąckrotnie promienie światła. Na dole w półcieniu ujrzałem szumiące fale Poiku, który wypływał

z bocznego otworu, płynął po dnie i w przeciwległej ścianie ginął w przepaści. Tu nad rzeką rzucony był most, (zob. ryc. 18) do niego na dno jaskini, prowadziły z ganku, na którym staliśmy, kamienne schody. Patrząc tak w spienione nurty rzeki, zauważyłem rzecz ciekawą. Oto, gdym rozmawiał z Krzysztofem, staliśmy na prawym brzegu rzeki, a teraz, po kilkudziesięciu krokach w jaskini, byliśmy na jej lewej stronie. Z początku zdziwiło mnie to zjawisko, ale zastanowiwszy się chwilkę, łatwo sobie wytłómaczyłem, że pewno, idąc przez kurytarz, przeszliśmy most naturalny, po pod który płynęła rzeka. Po lewej stronie rozszerzał się ganek znacznie i widziałem, że tam przewodnik coś objaśniał. Podskoczyłem żwawo, lecz nie mogłem się zrazu przecisnąć. Gdy jednak tłum się ustąpił, dotarłem dalej i zobaczyłem płytę z czarnego marmuru, umieszczoną w ścianie. Przy pomocy światła latarki jednego z przewodników, który jeszcze w tyle pozostał, odczytałem następujący napis w niemieckim języku: „Sprawiedliwy, Dobry, Mądry, Franciszek I. cesarz austryacki, w roku 1816 stał tu i spoglądał na to podziemne dzieło, wiecznie czynnej przyrody".

Odczytywanie napisu wstrzymało mnie przez chwilę, pozostałem nieco w tyle i odłączyłem się od stryja i Krzysztofa. Trzymając się jednak w bliskości ostatniego przewodnika, który pochód zamykał, korzystałem z jego objaśnień w języku niemieckim, do których wtrącał zdania w mowie słoweńskiej, dosyć dla nas Polaków zrozumiałej. Podążyliśmy więc za drugimi, okrążając gankiem całą katedrę, aż weszliśmy nizkim otworem znowu w kurytarz, ciągnący się w głąb góry. Zaraz po prawej stronie pokazał nam przewodnik „kazalnicę", masę stalaktytową, która jakby daszek nad kazalnicą na dół się zwieszała (zob. ryc. 19). Odtąd prawie co kilkanaście kroków zwracał on naszą uwagę na naśladownicze kształty, z których niejedne zadziwiające podobieństwo do pewnych przedmiotów okazywały. Prawda, że u niektórych mas stalaktytowych nie mogłem się dopatrzyć, dlaczego im tę lub ową nazwę na-

dano i w tych razach fantazya moja musiała to podobieństwo wyszukiwać. Widziałem tam wodospad „Stock im

19. Kazalnica (z groty Postojny).

Eisen“, głowę lwa, chrzcielnicę, sarkofag, lożę itd. Nagle znowu zabłysło światło i weszliśmy do sali tańców. Mają

się tam rzeczywiście odbywać tańce na Zielone Święta. Przewodnik poprowadził nas tu do dwóch tablic pamiątkowych, na cześć Józefa Jersinowica i Dr. Schmidla, a napisy świadczyły, że są to dwaj, najbardziej zasłużeni mężowie w sprawie rozpoznania pieczar Postojeńskich.

Przewodnik naglił nas do pośpiechu, bo długi sznur zwiedzających zniknął już był bocznym otworem, gdy kilku z nas jeszcze studyowało napisy. Poszliśmy dalej; daremnie wytężałem wzrok za stryjem i Krzysztofem, w oddali migotały światła świec i lampek, umieszczonych po ścianach a postaci osób czerniły się daleko na tle białych kalcytów, tworzących ściany. Ale nie było czasu szukać stryja, bo nowe rzeczy zajęły mój umysł. Pokazał mi przewodnik krzywą wieżę Pizy. Były to dwa słupy stalaktytowe, prawie na metr grube, z których jeden pękł, lecz nie upadł, tylko wsparł się na drugim. Weszliśmy teraz do nowej groty: Franciszka Józefa i Elżbiety. Ciągle wpadały mi w oko nowe stalaktyty, a ponieważ widziałem sople stalaktytowe, z ziemi do góry rosnące, czyli jak je przewodnik nazwał, stalagmity, byłem ciekawy, jak one powstają. Trochę mi wstyd było, że ja, jako uczeń gimnazyalny, pytać o to muszę, ale zrzuciwszy pychę z serca, zwróciłem się z pytaniem do przewodnika.

— Stalaktyty panie — mówił on — powstają podobnie jak sople lodu; gdy przez szczelinę w stropie jaskini dostanie się kropla wody, mająca w sobie rozpuszczony wapień, traci na powietrzu dwutlenek węgla, a wtedy kalcyt, jako związek, w wodzie niezakwaszonej nierozpuszczalny, osadza się na stropie: kropla po kropli spływa szczeliną dalej i powoli stalaktyt rośnie, a z kropel, które, nie wyparowawszy, spadają na dół, rośnie do góry odpowiedni stalagmit, łącząc się nieraz ze swym stalaktytem i tak powstają słupy.

Patrz pan — dodał — oświetlając latarką jeden kąt kurytarza — tu się prawie łączą, a tam widać połączone. Połączenie to jest jednak cienkie, jak pręcik. Jak dzieje się to powoli, najlepszym dowodem tego okoliczność, że ja

chodząc tu od młodości, jeszcze z mym ojcem, widziałem już to połączenie, które ani na milimetr nie zgrubiało, chociaż sporo lat gości oprowadzam. Ileż to milionów lat potrzeba było na utworzenie tak grubych słupów, jakie często tu widzimy. Ale chodźmy dalej, bo się zbyt spaźniamy.

I rzeczywiście zaledwo kilku osób zostało z nami, by się przysłuchać wyjaśnieniom przewodnika, inni poszli dalej. Drugi przewodnik, idący z daleka za nami, gasił świece po bokach, inną bowiem drogą mieliśmy wracać. Gdy się zrównał z nami, musiał się wstrzymać z gaszeniem, aż się oddalimy. Szybkim krokiem szliśmy teraz naprzód kurytarzem, który wznosił się nieznacznie w górę, zwężał się, zniżał, że rękami dotykałem stalaktytów. Miejscami znowu rozszerzał się w małe salki, w których wapień, zabarwiony na czerwono, mieniając się z białym, nadawał grotom nowego uroku.

Zbliżyliśmy się teraz do wielkiej sali, Belwederem zwanej. Małe wzniesienie na końcu umożliwiło nam objęcia wzrokiem wszystkich jej piękności. Znów lampa łukowa ze stropu rozrzucała snopy światła, a czerwone i białe draperye po ścianach lśniły się tysiącami świateł.

— Co tam jest? zapytałem, wskazując na ciemną otchłań, widniejącą z boku.

— To Tartarus, część niedostępna dla zwiedzających, pełna urwisk i przepaści, pozbawiona ozdób stalaktytowych, istne miejsce pokuty.

Na owem wzniesieniu, gdzie staliśmy, wznosił się obelisk marmurowy, a dwie tablice świadczyły o dwukrotnym pobycie naszego monarchy, ostatni raz w r. 1883 podczas uroczystości 300 letniej rocznicy przyłączenia Krainy do dzierżaw domu Habsburskiego. Stąd poprowadził nas przewodnik dalej do groty Maryi Anny; mijamy Brylant, słup przeczystej białości i przychodzimy do góry kalwaryjskiej. Mamy przed sobą olbrzymią salę. Z trzech stron wznosi się góra stroma, prawie popod strop, z czwartej przypiera do ściany. W łagodnych liniach wężowych prowadzi droga na szczyt. Wysokie stoki góry najeżone są

stalagmitami. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego tę grotę Kalwaryjską górą nazwano. Te stalagmity nie tworzyły grup jednolitych: przeciwnie, otaczały nas tysiące grup najrozmaitszych, tak, iż rzeczywiście mogło się zdawać, że to tłumy ludu, dążącego na Golgotę, skamieniały na drodze. Umieszczone na szczycie ławki, umożebniały odpoczynek i objęcie wzrokiem całości. Cudowny widok roztoczył się przed mem zdumionem okiem. Byliśmy, jak przewodnik objaśnił, 40 m nad poziomem, a z 20 m brakowało jeszcze do stropu. Prawie 200 m rozległości miała ta sala. Z boku za nami widniał otwór: to korytarz, prowadzący po żmudnej drodze, jeszcze bliżej powierzchni ziemi, ale zwiedzających tam już nie prowadzono. Przewodnik począł schodzić na dół, my za nim, drugim bokiem groty, mieliśmy podążyć z powrotem. Jeszcze kilkakrotnie, z kilku punktów, mogłem objąć całość wzrokiem, przyczem przewodnik zwracał naszą uwagę na papugę, las skamieniały, latarnię Tryestu i t. d.

Wracając, przeszliśmy po pod słup stalagmitowy, przewalony w poprzek drogi, gruby na 4·5 m; na nim ułożył się drugi stalagmit na 2 m gruby.

Teraz weszliśmy do małej salki, gdzie tak zwana Zasłona, najpiękniejsza z naciekowych postaci, przykuła moje oko do siebie. Ach! pamiętam ją dobrze, bo pośrednio była ona powodem mej strasznej przygody. Proszę sobie wyobrazić zwisającą prawie na 3 m firankę, do 30 cm szeroką, pofałdowaną najcudowniej, grubą zaledwie na 1 cm i całkiem przeźroczystą, tak, że lampki umieszczone pod nią, przyświecały matowo. Była ona całkiem biała, tylko brzeg czerwono-żółty, niby oblamowanie, ciągnął się przez całą długość. Żelazna drabinka prowadziła za zasłonę, umożebniając zapalenie lampek, umieszczonych poza zasłoną, a żelazne poręcze otaczały ją w około, by ktoś przypadkowym sposobem nie uszkodził tego cudu przyrody. Cud to rzeczywisty i gdyby grota Postojny żadnych innych godnych widzenia rzeczy nie miała, tylko tę zasłonę, już byłaby godną zwiedzenia (zob. ryc. 20). Stałem tak przed balustradą, zatopiony cały w widoku przepysznym, nie uważając,

że przewodnik poszedł dalej a za nim wszyscy. Zobaczywszy, iż sam zostałem, przyśpieszyłem kroku, aby ich do-

20. Zasłona (z grotý Postojny).

pędzić. Byli przedemną jakich 30 kroków. Wtem nieszczęśliwa myśl przyszła mi do głowy.

Gdybym to tak na pamiątkę wyłamał sobie teraz jaki stalaktyt. Wiedziałem, że stalaktytów brać nie wolno i słusznie, bo gdyby każdy z gości, a liczyć ich trzeba na tysiące rocznie, zechciał sobie wziąć tylko ułamek stalaktytu, prędkoby ich nie stało. Ale sposobność była nęcąca, nie oparłem się pokusie. Tworzliwie oglądnąłem się w tył, ale przewodnika, który gasił światła za nami, jeszcze nie było widać. Spojrzałem po ścianach, tuż około mnie, nad czarnym otworem, prowadzącym do jakiejś bocznej jamy, zwisał ze stropu śliczny, może na 2 m długi stalaktyt. Przyskoczyłem szybko, spiąłem się na palcach, dosięgnąłem go, a szarpnąwszy, ułamałem; ale wtem straciłem równowagę, noga mi się pośliznęła, a ja runąłem całym ciężarem w czarną otchłań i.... straciłem przytomność.

Jak długo tam leżałem, nie wiem. Przyszedłszy do siebie, nie umiałem z początku zdać sobie sprawy, co się ze mną stało, gdzie się znajduję. Ciemno było w około, cisza głęboka panowała wszędzie, w głowie mi szumiało, jakby kto młotem w nią uderzył. Leżałem na czemś twardem. Z początku myślałem, że to noc i że leżę w łóżku; ale poruszywszy rękami, dotknąłem się zimnej, wilgotnej skały. Usiadłem z przestrachu. W jednej chwili przypomniała mi się zasłona, stalaktyt, upadek w głębię. Ze strachu stanęły mi włosy na głowie.

— To ja w jaskini sam jeden, opuszczony przez wszystkich, nie spostrzegli, żem upadł. Pozostawili mnie samego, w grobowej ciemności, może już długo w omdleniu tu leżę, może za mną już szukano, a ja nie odpowiadałem; może tu teraz śmierć głodowa mnie czeka.

Tak myśl jedna goniła drugą, jedna od drugiej straszniejsza. Siedziałem nieruchomo, wytężywszy wzrok, czy kogo lub czego nie zobaczę, czy jakiegoś głosu nie posłyszę. Nie, grobowa cisza koło mnie. — Stryju! stryju! ja tu! zawołałem z całych sił, a głos mój ponurem echem rozległ się po ścianach jaskini i umilkł po chwili w oddali. Nasłuchiwałem, ale nadaremnie, i znów wołałem to stryja, to Krzysztofa: to po polsku, to po niemiecku, wołałem ra-

tunku, krzyczałem, aż sił mi nie stało, aż ochrypłem. Upadłem nazad na skałę i gorzko zacząłem płakać. Ciężkie wyrzuty robiłem sobie, że nie trzymałem się wszystkich, że chciałem wziąć sobie stalaktyt, za co spotkała mnie straszna kara, za wielka nawet za moje przewinienie, które jeszcze właściwie spełnione nie zostało. I jęczałem, zlany cały łzami i przeklinałem siebie i świat i grotę i wakacye. Myśli moje zaczynały się plątać bezładnie, przerażała mnie ta straszna, niczem nie przerywana cisza, ten brak najmniejszego promyczka światła, któryby chociaż na chwilkę rozświecił otaczające mnie ciemności, a zwątpienie coraz większe ogarniało mnie całego, czy w ogóle kiedykolwiek światło dzienne zobaczę. Przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem o ludziach, żywcem pogrzebanych, o strasznych ich męczarniach, jakie musieli przechodzić, że pomoc przyszła za późno, po niewczasie, że znaleziono tylko pokurczone w ostatnich, bolesnych konwulsyach ich trupy. I dreszcz przerażenia przeszedł po mem ciele. Może już i ja skazany jestem na śmierć taką, może i mnie zapóźno odszukają, a może i nigdy nie znajdą, opłaczą, zapomną, a ja tu marnie zginę, i ta wilgotna jaskinia będzie mym grobem.

— O Boże! jakżesz ja nieszczęśliwy! zawołałem i nagle myśl moja zwróciła się ku niebu; w rozpaczy zapomniałem, że czuwa przecież nademną Ten, który i najmniejszym robaczkiem się opiekuje, i który także i mnie nie opuści. Podniosłem się powoli na kolana, złożyłem ręce i gorąca modlitwa, tak szczera, tak błagalna, jak może nigdy z ust moich nie wyszła, uleciała tam, ku górze, przez sklepienie groty ku światłu, ku niebiosom. I nadzieja wstąpiła w me serce, uspokoiłem się powoli, nastąpiło zbawienne uspokojenie. Zacząłem rozważać, iż przecież tak źle ze mną nie jest, że droga ratunku dla mnie jeszcze otwarta. Stryj przecież tak łatwo nie da za wygraną, szukać mnie będzie tak długo, póki nie znajdzie, usłyszę wołania, zobaczę światło, dam znać o sobie, zostanę uratowany. A zresztą, dlaczego mam tu bezczynnie leżeć, mogę próbować powoli, ostrożnie, szukać drogi w ciemności.

Tak uspokajałem sam siebie. Podniosłem się powoli z klęczącej pozycyi i wyprostowałem się. Wyciągnąwszy rękę ku górze, dotknąłem stropu, wokoło siebie nie namacałem żadnej ściany, postąpiłem krok naprzód i uczułem, że grunt się obniża, zatrzymałem się niepewny, czy w tę stronę mam się posuwać. Ach światła! choć trochę światła! Zacząłem gorączkowo szukać po kieszeniach zapałek, wiedziałem, że mam je gdzieś w kieszeni, bo przypomniałem sobie, że w wagonie zapalałem stryjowi cygaro. Rzeczywiście, znalazłem je. Drżącą ręką otworzyłem pudełeczko, lecz radość moja chwilowa zmniejszyła się znacznie, gdy namacałem tylko 3 zapałki. Chwyciłem za jedną, niecierpliwie potarłem ją, chcąc choć na chwilę przynajmniej rozświecić te grobowe ciemności. Wtem trzask.... zapałka mocno pocisnięta, przełamała się, główka odskoczyła na ziemię. Zimno mi się zrobiło, przez moją niecierpliwość skarb nieoceniony dla mnie w tej chwili o jedną trzecią się zmiejszył. Z drugą byłem ostrożny, powoli potarłem raz, drugi, i zapałka buchnęła małym płomyczkiem. Na chwilę przedarła się czarna zasłona, mnie otaczająca. Szybko rzuciłem wzrokiem na około siebie (zob. ryc. 21). Stałem na gruncie pochyłym, w jakiejś bocznej rozpadlinie skały, za mną błyszczała w słabem świetle zapałki powierzchnia jakiegoś podziemnego jeziorka, zaledwo dwa kroki byłem od niego oddalony. Gdyby mnie ręka Opatrzności nie była zatrzymała na brzegu tego jeziorka, byłbym w zimnej jego toni na wieki pogrążony. Wokoło mnie promyk zapałki ślizgał się po białych kalcytach ścian i obwlekał tu i ówdzie sterczące stalagmity w fantastyczne postacie, które zdawały się drzeć, poruszać, falować, przedemną czerniał otwór i stamtąd szedł prąd powietrza Tam więc musiała być komunikacya z dalszymi kurytarzami jaskini. Bez żadnego namysłu zwróciłem swe kroki ku niemu, chcąc wyzyskać ostatnie błyski światła. Po kilku krokach byłem w otworze, rzuciłem okiem w prawo, w lewo, tu i tam ciągnął się czarny korytarz, lecz niestety, tyle tylko zobaczyłem, bo zapałka ostatni raz błysnęła silniej, by zgasnąć. I znowu

ciemność mnie otoczyła, a ja nie mogłem oczu oderwać, od zarzącego się jeszcze pręcika. Śledziłem z uwagą iskierki, przelatujące po zwęglonej zapałce, jeszcze chwilę tliła zapałka, jeszcze chwilkę błysła tu i ówdzie malutka iskierka, aż nareszcie zgasła ostatnia, w ręku pozostał malutki, niedopalony ogarek. Puściłem go na ziemię i prędko sięgnąłem po ostatnią zapałkę, bo zdawało mi się, że większe, grubsze ciemności waliły się na mnie, że czarniejsza zasłona pokryła wszystko. Już miałem zapałkę w ręku, już ją podniosłem do potarcia, gdy przyszła mi myśl nagle, że to ostatnia, że więcej już światła mieć nie będę, że lepiej zachować ją na później, gdy będę potrzebował koniecznie zoryentować się w chwili, gdy grozić mi będzie niebezpieczeństwo. Schowałem z westchnieniem pudełeczko z zapałką do kieszeni, i wyciągnąwszy ręce przed siebie rozpocząłem iść, ale jakże niepewnym był ruch mój każdy. Powoli posuwałem się naprzód, próbując przed kazdym krokiem nogą, czy mam pewny grunt pod sobą, a ciągle zdawało mi się, że głowa uderza o jaką przeszkodę. Po kilkunastu takich, niepewnych krokach, zacząłem postępować śmielej i odważniej, czułem, że jestem w kurytarzu, ciemność już mnie tak nie przerażała, wpadłem z jednej ostateczności w drugą, nadzieja wydostania się z tego labiryntu dodała mi sił i odwagi.

Ciszę jaskini przerywał teraz odgłos mych kroków, gubiący się gdzieś daleko w głuchym pogłosie. Przysłuchiwałem się echu, stąpając coraz śmielej, bo to był niejako jedyny mój przyjaciel w tej strasznej grocie, który towarzyszył mym krokom. Wtem silniej zadudniała ziemia pod mojemi nogami, odgłos stał się wyraźniejszym, nie ginął w oddali, lecz głośno oddawał me kroki. Stanąłem na chwilkę. Otarłem ręką pot z czoła, chociaż na ciele chłód czułem.

Muszę znajdować się w jakiejś większej, pustej przestrzeni, skoro echo mych kroków tak wyraźne, powiedziałem głośno, a ostatnia zgłoska, powtórzona wyraźnie, doleciała mych uszu. Byłem więc w jakiejś sali, ostrożnie zacząłem postępować naprzód, wyciągnąwszy znowu ręce przed siebie. Po

kilku krokach dotknąłem czegoś zimnego: nie była to skała, przedmiot dotknięty był twardszy, zimniejszy, zacząłem posuwać dalej ręką i przekonałem się, że to był pręt żelazny, poziomo wyciągnięty. Postąpiłem za nim w prawo i w lewo, i poznałem, że biegł w około; była to więc żelazna balustrada. Przypomniałem sobie teraz, że niedawno przed taką balustradą stałem, podziwiając zasłonę. Gdy się wychyliłem po za poręcz i rękę wyciągnąłem, napotkałem kamień. Kilka pociągnięć ręki dozwoliło mi poznać, że rzeczywiście dotykam się zasłony pofałdowanej, a gdy zgiąwszy palce, zapukałem, dźwięczny głos, jak gdyby głos dzwonka, rozległ się wokoło. Wróciłem więc w to samo miejsce, skąd wyszliśmy. Stanąłem bezradny, nie wiedząc, co czynić. Dwie drogi stały mi otworem, oczywiście wtedy, gdybym na nie natrafił, jedna z powrotem, którędy przewodnik nas prowadził, a druga naprzód, skądeśmy przyszli, bo wiedziałem, że prowadzono nas wokoło, że zarząd stara się, aby jak największa część drogi powrotnej przez inne kurytarze prowadziła. Tu i tam mógłbym natrafić na początek kurytarza, ale trzeba się było zdecydować na jedno, a decyzya przychodziła mi trudno. Powrót nieznanym kurytarzem był pewnie krótszy; przeciwnie zaś, gdybym wracał tymi wszystkimi kurytarzami, które przekroczyliśmy, to droga musiałaby być dłuższa, ale stryj, gdy wyjdzie na moje poszukiwanie, z pewnością będzie szedł tamtędy, którędyśmy już przechodzili, w tej słusznej myśli, że gdzieś po drodze pozostałem. I już zrobiłem krok naprzód, by w przeciwnej stronie szukać otworu, gdy naraz szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy.

Zasłona była tak cieńka, że światła, umieszczone za nią, przyświecały łagodnym blaskiem, po za zasłoną do góry prowadziła żelazna drabinka dla zapalenia umieszczonych tam świec lub lampek. Może one tam są jeszcze, a wtedy byłbym ocalony, zapałkę mam, miałbym światło, wyszedłbym na pewno z tego labiryntu.

Wróciłem więc szybko do balustrady i zacząłem ją w koło obchodzić, aż natrafiłem na ścianę, do której pręt był wpuszczony. Tu jednak nie było przejścia po za nią, drabinka musiała być po stronie przeciwnej. Idąc w odwrotnym kierunku, a iść mogłem prędko i bezpiecznie, bo trzymałem się balustrady, natknąłem po kilku krokach na jej koniec, domacałem się ściany i wązkiego przejścia między balustradą a ścianą i zaledwie przecisnąłem się przez przejście, a już drabinkę miałem pod rękami i ostrożnie począłem się piąć w górę, szukając ręką zasłony. Nim piąty szczebel przekroczyłem, dotknąłem już świecy, w druciany lichtarz oprawnej. Wyjąłem ją ostrożnie i ze sercem, przepełnionem radośną nadzieją, zstępowałem na dół i poszedłem przed balustradę. Ostrożnie wyjąłem pudełeczko, wydostałem zapałkę i potarłem, błysło światełko i po chwili trzymałem w ręku zapaloną świecę. Odetchnąłem głęboko. Świecy był spory kawałek, mogła z godzinę się świecić, dostatecznie, jak myślałem, by wyjść z groty. Rozglądnąłem się w około. Przedemną lśniła się w swej śnieżnej białości zasłona, a w licznych jej fałdach fantastycznie łamał się blady promyk świecy. Z jednej strony, niedaleko mnie, czerniał otwór, to kurytarz, którym przyszliśmy, a drugiej strony był widoczny, dalszy otwór, którym mieliśmy wracać.

Teraz już nie wahałem się, trzeba było obrać krótszą drogę, jak sądziłem tę, którą przewodnik z powrotem nas prowadził, bo bałem się, że świeca mi nie wystarczy. Rzuciłem ostatni raz okiem na zasłonę, ten cud przyrody, tak głęboko w ziemi ukryty i prędko zacząłem iść naprzód, tam, skąd przyszedłem.

Niestety radość, że mam świecę, zaślepiła mnie zupełnie, patrzyłem przed siebie w czarny otwór, do którego wejść miałem, a nie uważałem pod nogi, to też zaledwie z dziesięć kroków uszedłem, zawadziłem o coś nogą i runąłem jak długi na ziemię. Padając, wyciągnąłem instynktowo ręce przed siebie, świeca wyleciała mi z ręki i zgasła.

Leżałem na ziemi, otoczony znów ciemnościami. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, co

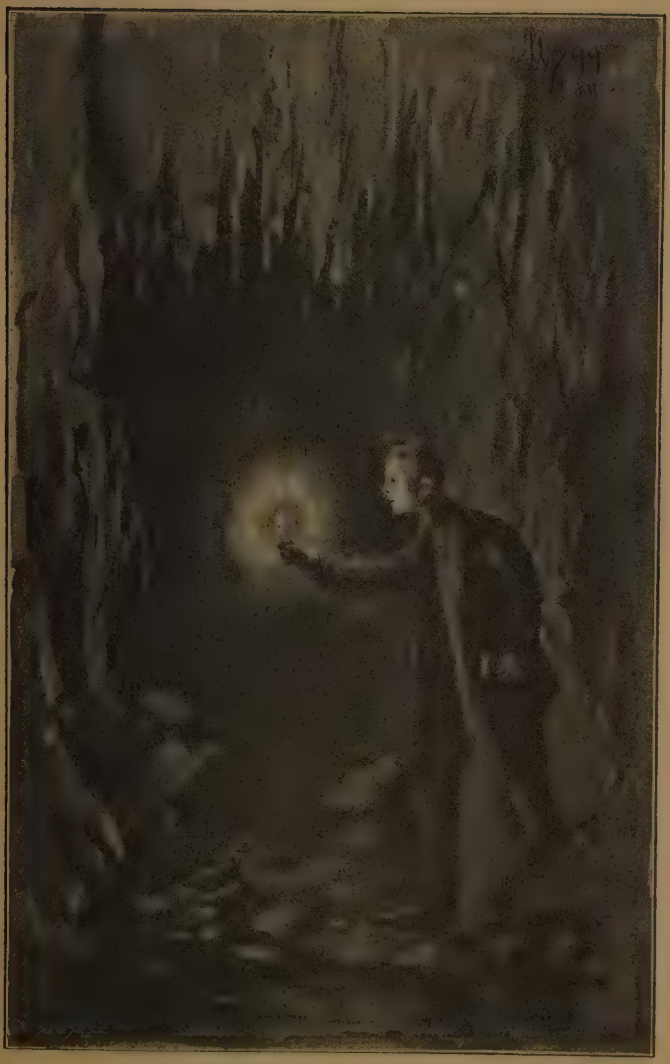

21. Ostatnia zapałka.

się stało, lecz wkrótce wróciła mi cała przytomność. Przez mą lekkomyślność, utraciłem nadzieję ratunku; zamiast iść ostrożnie, gnałem naprzód jak opętany, zamiast strzedz świecy, jak oka w głowie, wypuściłem ją z ręki. Sam byłem winien, że znowu ciemno i straszno było koło mnie. Większa mnie rozpacz ogarnęła, niż przedtem, zapomniałem o tem, że przecież w ciemności już kroczyłem naprzód i po omacku szukałem drogi, utrata świecy pomieszała mi myśli, sądziłem, że już po mnie, zacząłem gorzko płakać i znów przekleństwo cisnęło mi się na usta, ale myśl, że dotychczas mi się nic złego nie stało, że Bóg opiekował się mną, uspokoiła mię powoli; westchnąłem do Boga, by mnie nie opuszczał i zacząłem powoli wstawać z ziemi. Lecz nim się podniosłem, chciałem się przekonać, co było przyczyną mego upadku. Posunąwszy ręką, natknąłem na szyny żelazne, o które zawadziłem i które sprowadziły mój upadek.

— Szyny żelazne — zawołałem na głos — naprawdę szyny! Chcąc się przekonać, czy się nie mylę, poszukałem drugiej rzeczywiście była. Stałem więc na torze kolejki podziemnej, jaką przewodnicy na wózkach ręcznych przewożą tych, którzy tak dalekiej drogi pieszo odbyć nie mogą.

Z radością wyprostowałem się: nadzieja bliskiego ocalenia zabłysła mi znowu; wystarczyło przecież, bym szedł szynami, to muszę na wyjście natrafić. Kierunek pamiętałem, drogi zmylić nie mogłem; to też przeżegnawszy się i westchnąwszy do Boga, by znów jakiś nieszczęśliwy wypadek nie pokrzyżował mych planów, śmiało puściłem się w niebezpieczną drogę. Niebezpieczna ona zawsze była, chociaż już nie do tego stopnia, jak pierwej, bo wtedy musiałem iść z wyciągniętemi rękami, by nie utknąć na ścianę, i byłbym musiał nieprzerwanie ścian kurytarza się trzymać, a jak one są zdradliwe, jak pełne rospadlin, przepaści, miałem na sobie najlepszy dowód. Teraz mogłem iść środkiem, wiedząc, że nie zbłądzę.

Postępowałem dosyć prędko, dotykając nogą, a dla pewności od czasu do czasu także ręką szyn, bym wiedział, że

nie zbłądziłem. Zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, gdy zimniejszy powiew powietrza zatrzymał mnie w moim pochodzie. Wietrzyk wiał z boku, tu musiała być jakaś nowa otchłań, albo boczny kurytarz.

Ukląkłem, by szyn się domacać i tak powoli, na klęczkach, posuwałem się naprzód i tuż zaraz poczułem pod ręką, że szyna, po której sunąłem ręką, rozdzielała się i jedna część jej biegła w bok nieco. Przyszedłem więc do miejsca, gdzie dwie drogi łączyły się razem, pewnie to był ten kurytarz, którym weszliśmy do dalszych partyi groty, a ja wracałem drugą stroną i doszedłem do miejsca połączenia. Może nie daleko był już koniec kurytarza, a z nim wolność, ocalenie, światło — to światło dzienne, do którego dusza rwała się wszelkiemi siłami.

Puściłem się więc dalej w tymsamym kierunku naprzód i naprzód, byle prędko, byle raz wydobyć się z tej czarnej otchłani. Ciągle szedłem szynami, krok mój prawie miarowy rozlegał się głucho, zresztą cisza była wokoło. Szedłem tak kwadrans, a może dłużej, może godzinę, bo kurytarz wydawał mi się strasznie długi. Raz zdawało mi się, że coś słyszę, stanąłem, serce biło mi jak młotem, nadstawiłem ucho, szelest jakiś dolatywał mnie z niedalekiej odległości: regularne tykanie, jak gdyby zegara ściennego. Gdy echo mych kroków przestało dudnić w uszach, i gdy wytężywszy całą uwagą w to miejsce, skąd ów dziwny głos, dosyć teraz donośny, dochodził, odgadłem łatwo, co to być może; oto gdzieś ze stropu padała woda kroplami na dno jaskini, a to sprawiało ów dziwny szelest, jak gdyby tykotanie zegarka. Jeszcze chwilę przysłuchiwałem się temu odgłosowi, który przerywał grobowe milczenie.

Ale trzeba było iść naprzód, chociaż czułem już ból w nogach, gdy te na chwilkę spoczęły. Powoli szedłem teraz dalej i głowa zaczęła mi ciężyć i coś mi szumiało w uszach, czułem, jak znowu strach mnie ogarniał, chociaż położenie było to samo, co pierwej. I znowu zaczęły różne myśli tłoczyć mi się do głowy: to o braciach moich młod-

szych, to o rodzicach, jak oni będą rozpaczali, gdy tu zginę, to o stryju, że o mnie zapomniał, że mnie nie kazał szukać. Po chwili zdawało mi się znowu, że ktoś za mną pocichu idzie, że śledzi me kroki, że czeka, bym tylko upadł, by mnie gdzieś porwać i unieść — jednem słowem, czułem, że dostaję gorączki, że nerwy moje, rozstrojone tem wszystkiem, co mnie spotkało, wymawiają mi posłuszeństwa, że mogę wkrótce zemdleć. Ostatnim wysiłkiem woli trzymałem się na nogach i wlokłem się dalej. A kurytarz kończyć się nie chciał, ciągle szyny miałem pod nogami tak, jak gdyby one ciągły się w nieskończoność.

Jak długo tak jeszcze powoli, krok za krokiem, postępowałem, sam nie wiem; wtem nagle drgnąłem, szum daleko płynącej wody doleciał mych uszu, stanąłem ... słuchałem.... wyraźnie płynęła woda, jak gdyby potok górski spadał po kamieniach i bryłach skalnych, zimny wiatr owiał mnie z przodu i orzeźwił, nabrałem sił nowych, przyspieszyłem kroku, szum stawał się coraz wyraźniejszy, coraz bliżej byłem płynącej wody. Idąc tak dalej, natknąłem na jakiś przedmiot i o mało co znowu nie upadłem. Na szczęście zatrzymałem się, zacząłem macać, co stoi mi na przeszkodzie i namacałem kółko żelazne, poręcz, siedzenie, krótko mówiąc wózek ręczny kolejki podziemnej. Byłem więc u kresu kurytarza, tu kończyły się szyny, a światła dziennego, jak nie widać, tak nie widać, choć cały wzrok wytężałem, czy przecież choć czegoż nie zobaczę.

— Ach — rzekłem sam do siebie — jakżeż myśli mi się pomieszały, kiedy tak nic nie pamiętam, przecież ta szumiąca woda, to Poik, a przedemną pewnie stoi otworem ta wielka pierwsza sala, katedrą zwana.

Zebrałem me wszystkie myśli, by sobie uprzytomnić, jak ta sala wygląda, którędyśmy weszli, a którędy ją opuścili. Usiadłem na wózku, by odpocząć i potem coś postanowić, czy czekać, czy iść dalej? Jak tu czekać, gdy widmo głodu stanęło przedemną, a jak tu iść dalej, gdy jeden fałszywy krok pogrążyć mnie może w nurtach rzeki. Weszliśmy do sali kurytarzem, prowadzącym z bramy gło-

wnej, to pamiętałem dobrze; staliśmy tak, jakby na jakim ganku, przed nami była katedra, a głęboko pod nami szumiał Poik, potem szliśmy gankiem naokoło i gdzieś po przeciwnej stronie weszliśmy do dalszych partyi. Pamiętałem także, że przez rzekę prowadził most, że przewodnik powiedział, iż tym mostem będziemy nazad wracali. Byłem więc gdzieś niedaleko mostu, gdybym go znalazł, gdybym go przeszedł, byłbym ocalony, bo po tamtej stronie było zbawienie, był gdzieś kurytarz, na świat prowadzący.

Niech co chce będzie, spróbuję, bo dłużej nie wytrzymam w tej ciemności. Zerwałem się i powoli, ostrożnie, z wyciągniętemi rękoma, sunąc nogę za nogą, zacząłem iść naprzód. Szum był już całkiem wyraźny, czułem chłód wody, krzyknąłem, a krzyk mój głucho rozległ się po pustej przestrzeni, musiałem już być w sali. Pod nogami czułem śliskie kamienie, każdy ruch zbliżał mnie do rzeki, nie wiedziałem, gdzie szukać mostu, czy przedemną, czy z boku, zacząłem macać rękami dno jaskini, ale twardy wilgotny kamień nic mi nie mówił, czy jestem na drodze do mostu, czy zbliżam się do rzeki.

Stanąłem bezradny, czułem, że tu rozstrzyga się mój los, w rozpaczy usunąłem się na kolana, a złożywszy ręce, zacząłem się modlić: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie..... i tak dalej, słowo za słowem biegło ku sklepieniu, ku Wszechmocnemu. I wejrzał Wszechmocny na swego ziemskiego robaczka, który z ufnością jak syn do ojca, słał modły do nieba, bo oto nagle, gdym tak góry miał oczy utkwione, błysło stamtąd światło, z początku blade, jak mała gwiazdka, by następnie buchnąć jasnym płomieniem. Niewidzialną ręką zapalona lampa elektryczna u stropu, rozrzucała snopy światła w około, znikła, jakby za dotknięciem różki czarodziejskiej, ciemność, przedarła się zasłona, mnie otaczająca.

Zerwałem się, zdziwiony, na równe nogi. Byłem rzeczywiście w katedrze, stałem tuż nad rzeką, jeszcze jeden krok, a byłbym wpadł w wodę, most był o kilka kroków z boku, zmyliłem kierunek, wychodząc z kurytarza. W ka-

tedrze nie było nikogo: tam u góry widziałem ganek, rozpoznałem wyraźnie tablicę pamiątkową, której napis odczytywałem, co mnie też od stryja oddzieliło. Nie zdając sobie sprawy z nagłego rozświecenia, szybko wbiegłem na most, gdy wtem na górze ganku dały się słyszeć głosy i w otworze kurytarza ukazał się stryj mój, Krzysztof, i dwóch przewodników z latarkami.

— Stryju! ja tu, krzyknąłem, co sił i pędem puściłem się dalej, przebiegłem przez most, przeskakiwałem co kilka schodów, które prowadziły do góry i nim stryj zdołał kilka kroków ku mnie postąpić, byłem już przy nim, padłem w jego objęcia i rozpłakałem się. — Chłopcze, co ty wyrabiasz — odezwał się stryj — jakiego ty mnie strachu nabawiłeś, któż mógł się spodziewać, żeś pozostał w grocie, taż tu ciebie mogła niechybna śmierć czekać. Dzięki Bogu, że cię żywym widzę.

Wziąwszy mnie za rękę, skierował się stryj nazad w kurytarz, a po kilku krokach owionął mnie ciepły wietrzyk i z radością ujrzałem światło dzienne — wyszliśmy z jaskini. Zwróciłem wzrok ku niebu, czysty błękit jaśniał nademną w całym swym blasku, słońce rozrzucało żarzące promienie, wyraziście odbijał zdala „Nanos“, otoczony zielonością łąk.

— Która teraz godzina? zapytałem stryja.

— Będzie pierwsza, przeszło godzinę byłeś sam w grocie.

— Co? pierwsza? a mnie się zdawało, że przynajmniej pół dnia byłem w tej otchłani, i jeżeli noc jeszcze nie zapadła, to z pewnością ma się już ku zachodowi słońca.

— W samotności i strachu czas powoli upływa, ale powiedz, mój kochany, jakim to sposobem pozostałeś w grocie.

Opowiedziałem stryjowi moje zdarzenie ze stalaktytem, mój upadek i zemdlenie, przestrach, gdy sam w ciemności się zobaczyłem, a nareszcie moją wędrówkę niebezpieczną.

— No mój Franku, to jeszcze dzielnieś się spisał, złożyłeś dowód, że w niebezpieczeństwie łatwo głowy nie tracisz i że umiesz myśleć i dobrze wnioskować; chciałem się gniewać, żeś mnie nabawił kłopotu i śmiertelnej o ciebie obawy.

— A kiedyż zobaczyliście, że mnie niema?

— Dopiero w hotelu, gdy Krzysztof powrócił, który szedł na końcu, i później odemnie wyszedł z groty. Ja byłem przy bramie jeden z pierwszych, a sądząc, że ty z Krzysztofem idziesz, siadłem do dorożki i kazałem się odwieść do hotelu.

— A ja myślałem znowu — wtrącił się do rozmowy Krzysztof — że panicz ze stryjciem, więc powoli podążając za ostatnimi, po dobrych trzech kwandransach doszedłem do Adelsbergu, i w hotelu dopiero spostrzegłem, że panicza niema. Oj! dość nasłuchałem się wyrzutów od pana, ale dobrze mnie tak staremu, dlaczego nie pilnowałem takiego młokosa. Ale panicz zdrów i w wesołym humorze, trochę tylko przybladł, to pewnie z tych strachów, jakich nabawił się w ciemnościach.

— Et gadać wam dobrze Krzysztofie, ale gdybyście byli w mojej skórze, to nie wiem, jakbyście wyglądali.

— Gdzieby mnie się tam zachciewało kamienie brać na pamiątkę, jak paniczowi, dosyć pamiątki dla mnie, że nabiłem sobie guza, gdym pędził za przewodnikiem, uderzywszy o drzwi, bo pan z furyą mnie napadł za nieobecność panicza i za przewodnikiem posłał, bym pędził, co tchu.

— Ale prawda — rzekł stryj — tak prędko uwinęliśmy się, że nie upłynął kwandrans, a myśmy już byli z przewodnikami u groty, po drodze schwytaliśmy maszynistę, w mig puszczono w ruch elektrykę, i naraz wszystkie lampy w grocie zajaśniały, by dać znać tobie, że idziemy z pomocą.

— To była myśl dobra, stryju, w katedrze przy szumie wody zaczynałem tracić głowę i nie wiem, co by się było ze mną wówczas stało.

— Nic, co najwyżej byłbyś się skąpał w zimnej wodzie, za płytki jest Poik, na dnie jaskini rozlany, byś się mógł utopić.

— Oj! oj! zawołał Krzysztof, to panicz mógł się w tej brzydkiej wodzie utopić, bylibyśmy daremnie szukali, a panicz byłby płynął pod ziemią i tam gdzieś w jakiejś Planinie, jak stryj mówił, jako trup wypłynął.

— Ale za to byłbym pierwszy, któryby podziemnym kurytarzem Poiku pływał, zawołałem wesoło.

— Na nic twa nadzieja — odparł stryj — byli tacy, którzy nie po śmierci, ale za życia tamtędy przepływali.

— Co stryj mówi? Któżby się tam mógł zapuszczać?

— Dr. Schmidl, którego pamięć uczczono tablicą w sali tańców. Ten puścił się łódką z synem swoim w tę niebezpieczną podróż i płynąc nieraz tak niskiem przejściem, że siedzieć wyprostowani w łódce nie mogli, dotarł do małej jaskini, gdzie rzeka tworzyła jeziorko, na którem pełno było desek, belek, gałęzi, jakie wezbrana woda w różnych porach tam naznosiła. Stąd płynęła rzeka tak wąskim otworem, że nawet sama łódka pomieścić się nie mogła. To też wycieczkowcy musieli się wrócić.

— Dalsze więc łożysko rzeki niezbadane?

— Owszem, znaleźli się niedawno tacy śmiałkowie między przewodnikami, którzy odważyli się przy niskim stanie wody dalej płynąć, i częścią wodą, częścią brzegiem sunąc się, doszli aż do drugiej groty, zwanej „Ottokową“, od wsi tej samej nazwy, na której gruntach ta grota leży. Tym sposobem grota Ottokowa została odkrytą, zrobiono do niej przystęp z zewnątrz i tam można raz jeszcze obaczyć Poik w jego wędrówce podziemnej, ale dalsze łożysko aż do Planiny jest dotychczas niezbadane.

— Jak dorosnę, to puszczę się sam na zbadanie tego dalszego łożyska.

— Dobrze, dobrze — rzekł stryj z uśmiechem — ale przyśpieszmy kroku, bo obiad czeka, a wkrótce i pociąg nadejdzie.

Podczas tej rozmowy doszliśmy do hotelu, gdzie posiłek porządany na nas rzeczywiście już czekał. Jak mi smakowały wszystkie potrawy, to nie uwierzycie, bo nigdy jeszcze pewnie, kochany czytelniku, nie byłeś w takich opałach i tyleś się strachu nie najadł, co ja, pewny prawie głodowej śmierci. Po obiedzie trzeba było pośpieszyć na kolej, wkrótce bowiem nadchodził pociąg wiedeński, którym mieliśmy jechać dalej, do Tryestu.

IV.

Siedząc w wagonie, poraz ostatni rzuciłem okiem na dolinę Poiku, która tak pamiętną dla mnie się stała. Tam w dali znikała ta góra Sovič, w której tak łatwo mogłem swój grób znaleść, kilkakrotnie jeszcze ukazywała się moim oczom, chociaż pagórki Krasu, w któreśmy wjechali, dawno Postojnę zakryły; ale olbrzymi „Nanos“ długo jeszcze widniał na horyzoncie.

Droga, przez którą jechaliśmy, podobna była do poprzedniej. Nagie pagórki, wysokie, urwiste skały, nędzne krzaki i zarośla, co kilkanaście kilometrów tunel, przerywający w poprzek stojącą górę — słowem smutna, naga okolica, o tyle urozmaicona, że widoki, jak w kalejdoskopie, szybko się zmieniały.

Nareszcie przyjechaliśmy do stacyi Nadbresiny. Tu rozgałęziała się kolej w boczne odnogi, z których jedna kierowała się na południowy zachód, do stacyi granicznej Undine. Ci, którzy do Włoch dążyli, tutaj się przesiadali.

Usłyszałem po raz pierwszy śpiewną i dźwięczną mowę włoską a i napisy na dworcu były już i w tym języku. „Capo di statione“, widniał napis nad jednemi drzwiami, co miało oznaczać naczelnika stacyi.

Niecierpliwie oczekiwałem odjazdu, bo stryj mi oznajmił, że wkrótce zobaczę morze i dlatego kazał mi usiąść przy oknie po prawej stronie. Pociąg ruszył dalej, a ja, stojąc przy oknie, wyczekiwałem niecierpliwie pożądanego widoku. Pociąg pędził po dolinie, ponad przepaściami, zboczami wzgórzy, to znowu zapadał w tunel; nareszcie wje-

22. Widok Tryestu.

chał pomiędzy wysokie skały, które całkowicie widok mi zasłoniły. Już, zniecierpliwiony, chciałem usiąść, gdy nagle, jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, prawa skała znikła a przed mym zdumionym okiem ukazało się wspaniałe morze.

— Ach, jak tu cudownie! zawołałem mimowolnie, bo rzeczywiście cudowny, uroczy widok przedstawił się mym oczom, widok, który nie da się opisać, bo żadne pióro nie zdoła oddać całej jego piękności i majestatu.

Przedemną, jak daleko tylko wzrok sięgał, gładka jak zwierciadło, powierzchnia Adryatyku, błyszczała w promieniach zachodzącego słońca. Niebieskawy kolor wody, w której się czysty błękit nieba odbijał, usprawiedliwiał w zupełności nazwę „modrego Adryatyku". Powierzchnia morza jakby pokrajana była w pasy i smugi: tu gładka jak lód, tam trochę zmarszczona, tu tak jasna, że oko raziła, tam znowu zachwycała swym ciemnym błękitem. A wszędzie, blisko i daleko, błyszczały białe żagle łódek rybackich, z daleka podobne do wielkich ptaków morskich, które na chwilę przysiadły, by po krótkiej chwili dalej polecieć. Parę parowców buchało smugą dymu, który, jak czarna wstęga, rozciągał się daleko po za parowiec, a prujący wodę przód okrętu, zostawiał za sobą ślad w kształcie trójkąta, widoczny na kilka kilometrów po za okrętem.

A tam daleko na horyzoncie, gdzie trudno było dopatrzeć granic morza albowiem błękit nieba się rozpoczynał, widniały same tylko czarne smugi dymu.

Pociąg tymczasem pędził dalej i dalej, ciągle nad brzegiem morza, nieraz tak blisko, że kamienie przybrzeżne z wody przeglądały i zbliżał się coraz bardziej do celu naszej podróży. Nad zatoką, której dał nazwę, rozsiadł się Tryest amfiteatralnie w wielkiem półkolu (zob. ryc. 22). Z daleka błyszczały w świetle słonecznem gmachy i budowle miasta w porcie jeżył się las masztów, gęsto uwijały się łodzie szybujące jak małe czarne plamki chyżo po spokojnem morzu; a na ostatniej granicy łuku, którym Tryest w morze się wcisnął, widniała wysoka wieża — latarnia morska.

W nocy błyszczy ona na morzu potężnem światłem, widocznem na kilkanaście mil w około, ażeby z okrętu wiedziano, że Tryest niedaleko. Latarnia ta gaśnie co 5 minut na chwil kilka, by znów zabłysnąć i tym sposobem zwracać uwagę żeglarzy.

— A ten zamek pod nami, co to jest? zapytałem stryja; bo teraz właśnie pędziliśmy koło wielkiego cyplu skalnego, wysuniętego nad morze, pokrytego ciemną szatą cyprysów, na którego końcu wznosiły się białe mury jakiegoś pięknego zamku, czy pałacu.

— To jest Miramare, zamek, który kazał zbudować dla siebie nieszczęśliwy Maksymilian, brat naszego cesarza. (zob. ryc. 23).

Coś o Maksymilianie słyszałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Stryj, wyczytawszy z mojej twarzy, że nie wiele wiem o nim, opowiedział mi w krótkich słowach tę smutną historyę, podczas gdy pociąg stał na stacyi, tuż nad zamkiem położonej.

Nieszczęśliwym rzeczywiście był Maksymilian. Przez cesarza mianowany gubernatorem lombardzko-weneckiego królestwa, mieszkał stale w Miramare do roku 1864. W tym czasie obrała go jedna partya Meksykańska cesarzem. Maksymilian koronę przyjął i udał się do Meksyku, ale niestety, opuszczony zdradziecko przez Napoleona III., który obiecał go popierać, nie mógł zwyciężyć partyi republikańskiej i pomimo dzielnej obrony uledz musiał. Zdradzony przez pułkownika Lopeza, dostał się do rąk nieprzyjaciół, którzy skazali go na śmierć przez rozstrzelanie. Padł Maksymilian a z nim dwaj jego jenerałowie. Żona z bolu i rozpaczy zmysły straciła.

Teraz, niezamieszkały, stoi zamek Miramare samotny i ponury pomimo, że w tak cudownej okolicy jest położony. Wszystko jest tam zostawione tak, jak było za bytności właściciela. Zwiedzić go można każdego czasu i stryj obiecał mi zamek pokazać, gdy czas na to pozwoli.

Jeszcze dziesięć minut jazdy, a wjechaliśmy na dworzec tryesteński. Prędko załatwił się Krzysztof z pakunkami, siedliśmy do omnibusu, na którym widniał napis:

„Hotel de la ville“ i ten zawiózł nas do hotelu tej nazwy, stojącego nad samem morzem. Przeznaczono nam pokój aż na 4 piętrze, ale wygodnie dostaliśmy się tam na górę, niespodziewałem się nawet tego.

— Chodźmy do „Liftu“, rzekł stryj i weszliśmy do małego pokoiku, w którym były tylko dwie kanapki do siedzenia. Kelner zamknął drzwi za nami, dał znak dzwonkiem i nasz pokoik zaczął podnosić się ku memu zdziwieniu w górę, po chwilce się zatrzymał, stryj drzwi otworzył, byliśmy na 4 piętrze. Teraz wiedziałem, co to jest „Lift“. Jest to winda, zapomocą której wznieśliśmy się w górę, nie męcząc się wcale schodami.

Z okien pokoju naszego roztaczał się widok na morze, pod nami wrzało życie portowe w całej pełni, chociaż powoli zmrok już zapadał. Dziwnie mienił się koloryt morza, okoliczne góry rzucały daleko w morze swój cień i ostro rysowały się ich kontury na wodzie, po za szarym kolorem błyszczała woda, a dalej rzadka mgła obsiadła horyzont, tak, że morze, niebo, mgła, spływały się w jedną harmonijną całość. Tu i ówdzie zabłysły czerwone światła na okrętach, stojących na kotwicy, zapalona lampa morska długą smugę światła rzucała daleko w morze, gasnąc od czasu do czasu. Robiło się coraz ciemniej, morze powlekło się jednostajną barwą ołowiano-czarną, a tylko smugi świateł latarni ulicznych i sygnałów okrętowych biegły w morze i kołysały się na falach, lekko zmarszczonego powiewem wiatru, Adryatyku.

— Dosyć napatrzyłeś się, Franiu — rzekł stryj — Krzysztof przygotował już wieczerzę, pójdź, posilimy się, by jutro skorzystać z dnia i rozglądnąć się trochę po Tryeście.

— Stryju kochany, jedźmy jutro na morze, niech choć raz w życiu kołyszę się na falach morskich, abym mógł powiedzieć kolegom, że płynąłem morzem.

Przypadłem do ręki stryja i zacząłem ją gorąco całować.

— Dobrze Franiu, dobrze, będziesz pływał a nawet wykąpiesz się w morzu, jeżeli zechcesz. Ale wprzód zwiedzimy Tryest, stare to miasto i ładne.

Podczas wieczerzy opowiedział mi stryj w krótkości dzieje miasta, w którem byliśmy. Już za rzymskich czasów było ono znane pod nazwą „Tryest“ jako rzymska kolonia, założenie jednak tej osady sięga bardzo dawnych, prawie legendowych czasów, bo na 2.000 lat przed Chrystusem, i wówczas miała nazwę „Pagus Carnicus“. Po upadku państwa rzymskiego należał Tryest do Exarhatu raweńskiego, później był miastem niezależnem, staczającem ciągłe walki z potężną rywalką swoją Wenecyą, aż doznawszy różnych nieszczęść w roku 1382, oddało się w opiekę Leopoldowi III. księciu austryackiemu.

— Od tego czasu — zakończył stryj opowiadanie — z bardzo małemi przerwami należał Tryest ciągle do Austryi, przemysłem i handlem pokonał rywalkę swoją, królowę Adryatyku, Wenecyę. Dziś Wenecya chyli się coraz więcej do upadku, a Tryest rozrasta się coraz bardziej i coraz więcej przywłaszcza sobie panowania nad Adryatykiem. Ale dość tego, tyś, widzę, śpiący, połóż się co rychlej a niech ci się przyśni grota.

Ach, ta grota rzeczywiście nawet we śnie nie dała mi spokoju. Przez całą noc miałem sny niespokojne, bo zdawało mi się, że ciągle jeszcze błądzę w ciemnościach po jaskini, to znowu, że lecę w przepaść, że tonę w Poiku, że płynę sam łódką po morzu i straszna burza grozi mi śmiercią. Dopiero nad ranem usnąłem głęboko i przespałem ku memu wielkiemu żalowi wschód słońca; gdy bowiem, zbudzony przez stryja, zerwałem się z pościeli i pobiegłem do okna, słońce już wysoko podeszło, a ruch w całej pełni panował w porcie (zob. ryc. 24).

Prędko ubrałem się, a wypiwszy kawę, wyszliśmy ze stryjem na miasto.

Hotel nasz stał przy ulicy, ciągnącej się wzdłuż brzegu morza, a okalającej wielkim łukiem cały port tryesteński. Jest on tak głęboki, że nawet wielkie okręty stały tuż przy brzegu. Kilka długich wałów wybiegało daleko w morze. Jednym z nich poszliśmy na sam jego przyczołek.

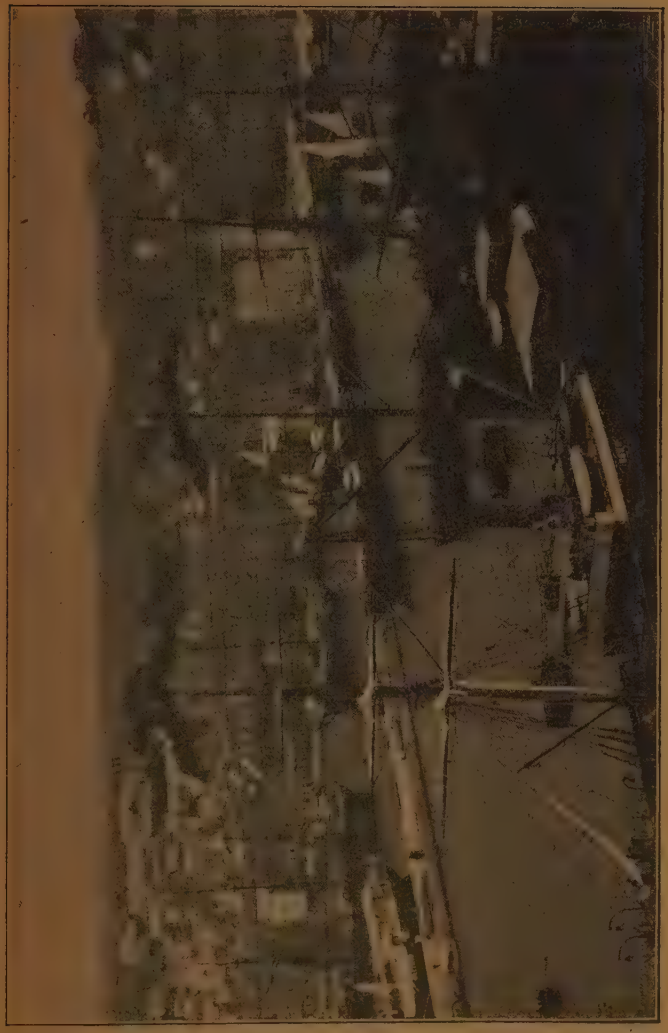

24. Okręty w porcie.

— Widzisz Franiu — mówił stryj — takie wały, wybiegające w morze, nazywają się „Molo“, a my jesteśmy na „Molo di Carlo“ (zob. ryc. 25). Smutnemu zdarzeniu zawdzięcza on swą nazwę, bo na tem miejscu, gdzie stoimy, zatonął przeszło przed stu laty wielki okręt wojenny „S. Carlo“ i mimo wszelkich wysileń nie można go było wydobyć, grzęznął w mule coraz bardziej, tak, że teraźniejsza tama na jego szczątkach zbudowaną została.

Słuchałem stryja, a tymczasem pożerałem wzrokiem morze, które, poruszane wietrzykiem porannym, lekko falowało. Jak daleko sięgnąć okiem, widać było dość liczne malutkie łodzie, jakby z rozpiętymi żaglami, rozsiane po całej powierzchni.

— Czy one płyną, czy też to tylko złudzenie? zapytałem.

— To są łodzie rybackie, jedne z powrotem, drugie w drodze na miejsce połowu, ale większa ich część stoi na kotwicy, zajęta połowem. Miałbyś ochotę zobaczyć, jak łowią ryby?

— Jeszcze jaką, ale jakim sposobem tam się dostaniemy.

— O, to najmniejsza! Wynajmiemy łódź na kilka godzin, użyjesz przejażdżki na morzu w całej pełni; wracajmy.

Wróciliśmy z Molo znów na nadbrzeżną ulicę, minęliśmy wspaniały pałac Lloyda, owego towarzystwa handlowego, którego okręty po wszystkich morzach żeglują, przyszliśmy na obszerny plac ze statuą Maksymiliana i skierowaliśmy się na Molo Giuseppino, gdzie czekało na gości kilka większych i mniejszych łodzi, przywiązanych do pali nadbrzeżnych.

Prędko ugodził się stryj z właścicielem jednej z nich, weszliśmy do łódki, odczepiono sznur, odepchnięto łódź i pomknęliśmy naprzód.

Przed nami, nie o cały kilometr oddalona, wznosiła się na potężnej skale latarnia morska.

Wioślarz nasz, niepytany, zaczął nam łamaną niemiecczyzną opowiadać, że ta skała stanowiła pierwej wy-

sepkę, niepołączoną z lądem, i dopiero Marya Teresa kazała ją tamą połączyć z morzem.

— Wieża ta ma 33 m wysokości — dokończył — czy ją panowie zwiedzą? ja poczekam na dole, a z góry będziecie panowie mieli śliczny widok na cały Tryest.

Spojrzałem błagalnie na stryja, który, uśmiechnąwszy się, skinął głową na znak przyzwolenia. Później dowiedziałem się, co znaczył ten uśmiech; wytłumaczył mi stryj, że przewodnicy, wioślarze, gondolierzy, w ogóle każdy, kto odgadnie gościa w przybyszu, zachęca go do poznania rzeczy, zasługujących i niezasługujących na zwiedzenie. Zyskuje na tem podwójnie: raz od gościa, którego oprowadza, a drugi raz od dozorcy zwiedzanego miejsca, który swem napiwnem podzielić się z nim musi.

Na szczęście latarnia morska była dla mnie rzeczą godną widzenia i zajmującą. Gdyśmy wylądowali i weszli do wieży, zobaczyłem, że dół jej przedstawiał się jak mała twierdza, w ścianach widniały otwory na armaty, a na nasypie przed latarnią stało nawet działo, ku miastu skierowane.

— Na co to działo? spytałem dozorcy, który wyszedł na nasze spotkanie.

— Na oznaczenie południa. Gdy z obserwatoryum astronomicznego dadzą mi znak, że przekraczamy południk, wypalam z działa, a każdy, któremu na tem zależy, reguluje swój zegarek na dwunastą godzinę.

Proszę teraz za mną na górę.

Przy tych słowach zapalił latarkę i idąc przodem, wyprowadził nas na kręte schody, które wązkim, ciemnym korytarzykiem wiły się do góry. Wkrótce błysło światełko i dozorca wprowadził nas do małego pokoiku, a stąd na ganek, okalający wieżę.

Prześliczny był widok z tego ganku (zob. ryc. 26). Przedemną ciągnął się Adryatyk, po prawej mej ręce ścieśniały go potężne góry, które tuż do morza przypierały, z daleka dostrzedz można było wiadukty i tor żelaznej kolei, którą przyjechaliśmy, a białe mury zamku „Miramare“

dobrze odbijały od tła zielonego cyprysów — po lewej stronie ląd tworzył półwysep, gdzie widniały ostatnie domy Tryestu i zielenił się park miejski.

— To promenada „S. Andrea“, objaśniał w czystym języku niemieckim dozorca, a ja w duchu błogosławiłem naszego profesora, Niemca, że nas trochę z niemieckiego dusił, bo dzięki jemu władałem nie źle tym językiem i mogłem łatwo rozmówić się z dozorcą, który na moje pytania dawał jasne, wyczerpujące odpowiedzi. Widocznie na strażnika latarni morskiej umyślnie inteligentnego wybierają człowieka, bo pewnie nieraz los okrętów od jego czujności i przezorności zależy.

— Tam daleko ostatnie kończyny lądu i ledwo widoczne miasteczko: to „Pirano“. Proszę wziąć do pomocy lunetę, a zobaczy pan dokładnie kościół pirański.

Skierowałem na wskazane miejsce podaną mi lunetę, i rzeczywiście zobaczyłem wieżyczkę kościoła.

— A teraz, niech. pan przeszuka lunetą drugą stronę, to tam na południowym zachodzie odnajdzie pan starożytną Aquileję.

Szukałem długo, przed lunetą majaczyły rozmaite punkty, ale na miasto natrafić nie mogłem. Dałem za wygraną i z ciekawością patrzyłem, jak strażnik ściągnął z długiego drążka, sterczącego na ganku, wiszącą na jego końcu, dużą drewnianą kulę. Następnie wyniósł jakąś flagę, rozwinął ją i powiesiwszy na sznurku, wyciągnął na drążek. Rozwinęła się flaga w powietrzu: na białem tle czerwieniało duże koło.

— Czy pan daje znak jaki? zapytałem.

— Tak jest, panie. Daję stąd urzędowi morskiemu wiadomość o nadpływających okrętach. Ta kula drewniana, którą spuściłem, to był sygnał na ten żaglowiec, który pan widzi przed nami; teraz zaś zapomocą flagi sygnalizowałem parowiec, pokazujący się tam, na widnokręgu.

Rzeczywiście widać było, daleko, bardzo daleko na horyzoncie, czarną smugę dymu i parowiec jakiś, ale wydawał się tak mały, jak zabawka dziecinna.

25. Molo di Carlo.

— A jak pan rozróżni jego flagę z daleka?

— Nim się flagę rozróżni, to wprawne oko rozpozna z budowy, do jakiego państwa należy okręt. Widzi pan, że na banderze widnieje czerwona kula na białem tle, to bandera japońska. Parowiec za dwie godziny powita wystrzałem nasz Tryest.

— To wy tu musicie mieć dużo takich flag?

— Naturalnie, proszę ze mną do środka, pokażę panu.

Weszliśmy napowrót do pokoiku: kilkanaście półek było zapełnionych rulonikami.

— Ot tu — rzekł, wskazując na szafkę — mój zbiór potrzebny do sygnalizowania; to moja biblioteka główna, do której rzadziej zaglądam, a tu na stoliku podręczna, bo okręty tych państw częściej nas odwiedzają. Ta paskowana czerwono i biało, mająca w rogu kwadracik niebieski z białemi gwiazdami, to flaga amerykańska. Tamta zielona, czerwono biała, to nasz najbliższy sąsiad Włochy, a czarna, biało-czerwona powiewa z masztów niemieckich. Te flagi muszę mieć zawsze pod ręką, bo często okręty tych państw stoją w naszym porcie. Proszę za mną na górę, bym mógł pokazać urządzenie latarni.

Malutka wązka drabinka prowadziła do górnego przedziału. Tu były ściany naokół oszklone. W środku wznosił się graniastosłup, którego ściany zrobione były ze szkła, dziwnie w soczewki wklęsłe i wypukłe wyszlifowanego, tak że tworzyły różnego rodzaju pasy podłużne, bardziej lub mniej przeźroczyste.

— To w tym graniastosłupie zapala pan światło? zapytałem.

— Tak jest, cały ten aparat obraca się powoli naokoło swej osi, zapomocą przyrządu zegarowego, tak, że światło przedziera się tylko co 30 sekund przez jeden z pasów szklanych i daleko na morzu jest widziane.

— A dlaczego nie używają szkieł kolorowych do oznaczenia różnych latarni? przecież możnaby łatwo rozróżnić od siebie latarnie, gdyby jedna świeciła zielono, druga czerwono, inna znowu niebiesko.

— O, to się pan myli, gdy sądzi, że światło kolorowe jest widoczniejsze. Barwa w odległości, osobliwie przy mglistem powietrzu, zaciera się i trudno ją rozeznać.

— A czy z daleka także widać światło tej lampy?

— Latarnia tryesteńska widoczna jest na 16 mil morskich, to jest mniej więcej na 32 klm, ale są i takie, które na 100 klm i więcej nawet rzucają promienie światła.

Tu wejście stryja przerwało dalszą rozmowę strażnika. Stryj dał mi znać, że czas do powrotu, podziękowałem więc serdecznie strażnikowi za objaśnienie i udałem się za stryjem, który już schodził na dół. Po chwili siedzieliśmy znów w łódce, a ta skierowała się na pełne morze, dążąc do łodzi rybackich, widniejących z daleka. Pełną piersią czerpałem świeże powietrze morskie, lekko sunęła się łódka po falach, woda stawała się coraz bardziej przeźroczystą, tak, że widziałem wodorosty morskie, pływające tuż pod powierzchnią, czasem plusnęła rybka, zapiszczała nad głową przelatująca mewa, czasem doleciał uszu ostry głos piszczałki parowca, który w porcie ładował towary, czasem wiatr zaniósł jeszcze gwar portowy, ale powoli ogarniała nas cisza, głęboka, przerywana pluskaniem fal, uderzających o boki łódki. Silniejszy wiatr wydął mały nasz żagiel i szybko teraz posuwaliśmy się naprzód, coraz wyraźniejszemi stawały się łodzie rybackie, tak, że można było rozróżnić ludzi, krzątających się na pokładzie (zob. ryc. 27).

— A jakie ryby poławiają tu najczęściej? zapytałem stryja.

— Fauna adryatycka obfituje w mnóstwo gatunków ryb. Na targu tryesteńskim obaczysz tuńczyki, sardele, płastugi, kurki, makrele, węgorze i t. d. Nawet rekiny podpływają czasem aż pod Tryest. Rzadkim na szczęście, a jednak najgroźniejszym jest żarłacz ludojad.

— Wymieniasz stryju tuńczyki, wszakże poławiają je głównie w morzu Śródziemnem.

— To prawda, tam bowiem ciągną główne ich gromady, tu też nie używają nigdy albo chyba bardzo rzadko do tego połowu „tonnarów“.

— Tonnary? Cóż to takiego, nie słyszałem jeszcze o tem.

— Możeś i słyszał, ale zapomniał, dlatego przypominam ci, że tonnarami nazywają się sieci, któremi łowią tuńczyki, długie 3—4 m. Ponieważ ryby te, jako wędrowne, ciągną naraz setkami, muszą więc być w stosowne siecie łowione. Sieci te 100—300 m szerokie, zrobione z silnych sznurów, rozstawiają się w poprzek drogi, którędy mają płynąć tuńczyki. Tonnary składają się z kilku, położonych na sobie komór, z których każda następna połączona jest z poprzednią otworem. Ostatnia, zwana komorą śmierci, ma dno ruchome. Koło pierwszej komory zaciąga się w ukos inne sieci, częstokroć na długość 600 m, a to w tym celu, by płynące tuńczyki skierowały się ku otworowi pierwszej komory. Nic złego nie przeczuwając, wpływają tuńczyki do pierwszej komory, a parte przez nadpływające poza nimi ryby, wchodzą do następnych. Skoro pewna ich liczba napełni ostatnią, wtedy na dany znak wyciągają rybacy ruchome dno do góry. Ryby, znalazłszy się w matni i tuż pod powierzchnią morza, zaczynają się gwałtownie rzucać, skakać, bić ogonami o wodę; ale wszystko na daremnie. Rybacy, uzbrojeni w dzidy i ostre haki, kłóją je w nielitościwy sposób, dopóki jeden za drugim nie padnie pod ich razami. Woda czerwieni się krwią zabitych, nowe ofiary podpływają, by otrzymać śmiertelne pchnięcie. Zabite wyciągają na pokład, tak, że w krótkim czasie wszystkie łodzie, obciążone po brzegi tunczykami, z których niejeden i do 150 klg waży, powracają powoli do brzegów, ciągnione przez małe parowce.

— A cóż potem robią z tak wielką ilością?

— Przyrządzają je do jedzenia. Zwyczajnie je marynują, bo mięso tuńczyka tylko świeże jest dobre, a psując się bardzo prędko, może w tym stanie wywoływać niebezpieczne choroby; dlatego też policya sanitarna kontroluje na brzegu przyrządzanie tuńczyków.

— Ach! jakżebym chciał taki połów zobaczyć?

— Niestety, choćbyśmy do morza Śródziemnego dotarli, to przyjechalibyśmy zapoźno, bo sezon tonnarowy trwa tylko od kwietnia do czerwca i w tym czasie ośm tylko odbywa się połowów. Musisz się więc zadowolić tem, co masz przed sobą. I tu nie jedną ciekawą rzecz zobaczysz.

Zerwałem się z ławeczki, gdzie, siedząc, słuchałem opowiadania stryja. Ciekawy rzeczywiście mieliśmy widok przed sobą. Łódka nasza zbliżyła się do dwóch łodzi rybackich, które, obok siebie stojąc, zarzuciły sieci. Właśnie dano znak do wyciągania: 6 rybaków krępych, silnych, opalonych od słońca, chwyciło w swe potężne dłonie sznury, sięgające do sieci w morze i poczęli je wszyscy, miarowo, razem ciągnąć do góry. Ci, którzy nie byli zatrudnieni, stali na brzegu, z niecierpliwością wyglądając ukazania się sieci. I nasz wioślarz podbiegł naprzód, wychylił się ponad wodą i począł bacznie śledzić każdy ruch rybaków. Nikt słowa nie przemówił, każdy patrzał na wodę, ciszę przerywał tylko monotonny głos kierującego wyciąganiem, a za każdem jego „a hop!“ wyprężały się ręce, zapierali się rybacy silniej nogami i sznury o kilka decimetrów wynurzały się z wody. Wnet w dużem półkolu lekko sfalowała się woda, brzegi sieci zaczynały się wyłaniać na powierzchnię. I nagle spokojna w środku powierzchnia zmąciła się, tu i ówdzie plusnęła ryba, coraz częściej zaczęły migotać srebrzyste łuski. Naraz pofałdowało się morze, kilkadziesiąt ryb wystawiło swe łby z wody. Przestraszone, zaczęły się rzucać, wyskakiwać z wody i znowu w niej zanurzać, by po chwili wypłynąć na powierzchnię. Coraz więcej przybywało ich z głębiny, a im wyżej podnosiły się brzegi sieci, tem więcej ścieśniała się przestrzeń, w której mieściły się ryby. Na obu łodziach wszczął się teraz gwar nie do opisania. Jak przedtem każdy był cicho, tak teraz każdy mówił, krzyczał, aby drugiego przygłuszyć: jeden drugiego zachęcał, by zwijał się szybko i sieć wyciągał do góry. Już większa część sieci była w łódkach, woda bieliła się od ryb niewielkich srebrzystych, z jasno niebieskimi prążkami. Poznałem, że to makrele. Wtem zabrzmiał rozkaz:

„Wszystkie ręce do sieci, ciągnąć ostrożnie, powoli, bo na dnie mamy jakąś rybę, bardzo ciężką“.

Na ten rozkaz kilku rybaków szybko przeskoczyło do łodzi i poczęli sieć wyciągać. Im bliżej było końca, tem trudniej im to przychodziło. Wszyscy czuli, że jakaś wielka ryba sieć im obciąża. Pot kroplisty spływał z czoła rybaków, wyprężone ich ramiona pracowały z natężeniem. Nawet nasz wioślarz nie mógł wytrzymać: przybił łódkę do nich i czepił sznur, by towarzyszom swym pomagać. Nareszcie koniec sieci zaczął się wynurzać. Na jej dnie leżało, prawie nieruchomo, jakieś cielsko czarniawe, którego jeszcze nie można było rozpoznać. Dobywszy sił ostatek, wyciągnęli wreszcie rybacy złowionego potwora. Z głuchym łoskotem padła olbrzymia ryba na pokład, bo że była to ryba — nie ulegało najmniejszej wątpliwości. „Une molo, une molo“, dały się słyszeć okrzyki rybaków, zdziwionych wielkością ryby. I ja, chcąc się bliżej przypatrzeć, przeskoczyłem baryerę i znalazłem się wśród rybaków. Przedemną leżała dziwacznych kształtów ryba, podobna do wielkiej tablicy, pokryta szaro brunatną, chropowatą skórą, na której nie było widać łusek. Na tylnych rogach wysterczały pletwy: grzbietowa i podogonowa, połączone z sobą ogonową, dużą zębatą, podobną do półksiężyca. Koło otworu skrzelowego widniała pletwa piersiowa a z pyska wystawały białe płyty kostne, jakby zęby białe. Przypatrzywszy się rybie i słysząc, że rybacy ciągle o „molo“ mówią, przypomniałem sobie nazwę tej ryby.

— To „samogłów“ zawołałem

— Masz słuszność, Franiu, odparł stryj, który także do nas się przyłączył, tak, to „samogłów“ (Orthagoriscus mola), ale tak wielki, jakiego nigdy nie widziałem; zmierzmy jego rozmiary.

Wyjąwszy miarę, począł ją stryj wymierzać, podczas gdy rybacy po cichu gwarzyli, gestykulując żywo.

— Długość wynosi 2·5 m, szerokość 2 m; czy złapaliście już kiedy tak wielkiego samogłowa?

— Nie, nigdy; dobrze, że sieci nie podarł, byłby nam dużo szkody narobił i połów popsuł[1]). A teraz dobrze za niego zapłacą.

— A cóż z nim zrobicie? Kto wam go kupi?

— Dyrektor muzeum historyi naturalnej zaraz go nabędzie.

— Prawda, że Tryest własne posiada muzeum, zapomniałem.

— Tak panie — rzekł nasz wioślarz, przerywając odpowiadającemu rybakowi — nazywa się ono Civico museo di storia naturale Ferdinando Massimiliano. Tam jest już taki okaz tej ryby, a myśmy myśleli, że to największy na świecie egzemplarz.

— Jak to my?

— No pan dyrektor i ja, bo od czterech lat, po wyjściu z wojska, jestem tam dozorcą i nie jedną rybę przez ten czas wypchałem. A niech pan nie myśli, że ja w mym fachu lada jaki: i wypychać umiem i montować w spirytusie i nikt tak dobrze nie umie poznawać zwierząt, jak ja, chyba jeszcze tylko pan dyrektor. Oto tu leżą makrele, ta ryba nazywa się flondrą, tam leży homar, a to są „frutti di mari“.

— Co? — zapytałem — „frutti di mari“, a to co za zwierzęta?

— A te, które tu leżą.

Popatrzyłem; poskładane na kupkę przez chłopca okrętowego, gramoliły się małe kraby, mątwy, ośmiornice, rozgwiazdy pięciopromienne i kuliste, kolcami najeżone jeżowce. Poskładałem szybko słowa „frutti di mari“ z łacińskiem „fructus“ i „mare“ zapytałem go dlaczego te zwierzęta „owocami morza“ nazywa.

— Bo my, Włosi, jemy te wszystkie zwierzęta, w hali targowej tryesteńskiej dostaniesz Pan je codziennie w wielkiej ilości.

— Ale siadajmy do własnej łodzi, bo rybacy uszczęśliwieni połowem, podążą teraz szybko do portu. Bieda im

[1]) 23 lipca 1896 złapano rzeczywiście takiego samogłowa w oddaleniu 10 minut od „Molo Giuseppino“.

tylko będzie, bo u nas teraz wakacye, obydwaj jesteśmy na urlopie. Muszę im jednak powiedzieć, niech tego samogłowa zaraz do stacyi zoologicznej zawiozą, to tam go tymczasowo w wodzie potrzymają, chociaż, jak widzę, nie długo pociągnie.

Rzeczywiście samogłów leżał nieruchomo; gdyby nie drganie, które od czasu do czasu po płetwach przebiegało, można było sądzić, iż już nieżywy. Nie było to dziwnem, gdyż wszystkie ryby „zrostoszczękie“, do których i samogłów należy, są bardzo powolne; nieraz można je widzieć, jak pozwalają się unosić falom morza, nieruchome, z wydętym brzuchem, a w akwaryach także niewielką są pociechą dla zwiedzających, bo ożywiają się tylko wtedy, gdy swemi dużemi płytami kostnemi, któremi mają pysk opatrzony, rozgryzają ślimaki lub małże, by je pożreć.

Łódź nasza odbiła od rybaków i przód jej skierował się z powrotem ku miastu.

Miałem teraz przed sobą całą, w półkole rozlaną, zatokę i Tryest, który, rozsiadły nad brzegiem, wznosił się także po stokach okolicznych wzgórzy. Wielkie, wspaniałe gmachy otaczały wieńcem port cały, za nimi piętrzyły się inne, coraz mniejsze i lichsze; najwyżej małe, stare kamieniczki i domki świadczyły wyraźnie, że to dzielnica najstarsza. Ale za to dalej, po stokach wzgórzy i na ich wierzchołkach, bieliły się wśród zieleni mury różnych wil i domków winnicowych, dodających całemu miastu cudownego uroku. Wież kościelnych było mało widać, najwięcej jeszcze wpadała w oko ze swoją wypukłą kopułą cerkiew św. Mikołaja. Na stoku przyległego wzgórza wznosiła się wysoko ponad cały Tryest, tuż pod murami starego kastelu, katedra pod wezwaniem św. Justyna. Początek jej sięga bardzo dawnych czasów. Była to wówczas świątynia pogańska, którą jeszcze w IV stuleciu cesarz Teodozyusz kazał na kościół zamienić. W kilku jeszcze miejscach mają być szczątki również dawnych murów wśród nowszych, wzniesionych na ich miejscu.

Z boku tylko przypatrywałem się naszemu wioślarzowi, który wiosłując teraz zawzięcie, płynnie mi o tem wszystkiem opowiadał; byłem zdziwiony, skąd on, na pozór całkiem prosty człowiek, tyle posiada wiadomości. Później było mi to jasnem: ci, którzy oprowadzają lub obwożą gości zwiedzających, nabywają wielkiej wprawy w opowiadaniu takich zajmujących szczegółów.

— Tam, panie, na prawo, ten duży gmach, to nasze muzeum — ciągnął dalej wioślarz — a jeszcze dalej, niedaleko zielonych drzew ogrodu spacerowego, widzi pan tryesteńską stacyę zoologiczną.

— A cóż tam jest?

— Tam przyjeżdżają uczeni austryaccy, by na miejscu badać zwierzęta morskie, jest nawet w środku, w suterenach, małe akwaryum, by badacze mogli mieć zawsze świeży materyał do badania.

— Zapewne dostarczają zwierząt morskich ci rybacy, których robocie przypatrywaliśmy się dzisiaj.

— Ale gdzie tam, na połów takich zwierząt trzeba osobno się wyprawiać, a mnie, jako doświadczonego w tym względzie, zawsze biorą w takim razie do pomocy. Wyjeżdżamy daleko na otwarte morze, gdzie osobnemi siatkami łowimy zwierzęta, żyjące na powierzchni, jak np. malutkie raczki lub drobniuchne mięczaki, które milionami pływają po falach. Są znowu osobne przyrządy do wydobywania mułu z dna morskiego. O nieraz ładne okazy przywozimy ze sobą.

— Stryju! czy pojedziemy zwiedzić tę stacyę?

— W wakacye stacya zamknięta, ale być może, że będziemy mieli sposobność gdzieindziej podobną zwiedzić stacyę Stacya neapolitańska np. przewyższa pod każdym względem tutejszą. Tam utrzymują ją państwa wspólnym kosztem. Same Niemcy płacą rocznie 40.000 marek, ale za to, co za śliczne tam akwaryum, jaka biblioteka fachowa, prawie z 8.000 tomów złożona, a w salach do badań samoistnych 60 uczonych naraz pracować może. Warto ją zwiedzić.

Ucieszyłem się niezmiernie, że mamy zwiedzić stacyę zoologiczną w Neapolu. Rzecz naturalna, iż pojedziemy do tego miasta, a Neapol ma być coś tak uroczego, że przysłowie włoskie mówi: „Zobaczyć Neapol i umrzeć“. Będąc w Neapolu, któżby nie był na szczycie Wezuwiusza, któżby nie pojechał do niebieskiej groty na wyspie Capri, któżby nie zwiedził „psiej groty“. A może stryj dałby się uprosić na podróż morską aż do Sycylii, a wtedy żeglowalibyśmy pełnem morzem, na prawdziwym okręcie, a nie na takiej łupinie z orzecha, jaką była teraźniejsza nasza łódka.

Te i tym podobne myśli przebiegały mi szybko po głowie, podczas gdy łódź wjechała w port i zwolniła w pędzie, bo trzeba było wymijać inne łodzie i okręty, które stały w porcie na kotwicy a były to kolosy potężne, niektóre tak wysokie, jak dwupiętrowe kamienice, a tak długie, że nawet na rynku przemyskim zmieścićby się nie mogły.

Łódka przybiła wreszcie do brzegu, wioślarz dostał sowitą zapłatę, zapraszał więc do drugiej poobiednej przejażdżki, mówiąc, że na tem miejscu będzie na nas czekał.

— Do widzenia Signore, do widzenia — wołał jeszcze, gdyśmy już w bramę hotelu wkraczali.

Popołudniu mieliśmy zwiedzić wnętrze miasta a przedewszystkiem cmentarz, pełen prawdziwych dzieł sztuki: marmurowych posągów, pomników, z których niejeden kilkadziesiąt tysięcy złr kosztuje, wieczorem zaś nastąpi przejażdżka po morzu przy świetle księżyca. Ach, jakże cudny musi być taki wieczór księżycowy na morzu.

Niestety, nie miałem go zobaczyć. „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi“.

Po obiedzie wyszliśmy więc znowu do miasta. Gdyśmy minęli „Molo di Carlo“, skierowaliśmy swe kroki w boczną uliczkę i wkrótce stanęliśmy na obszernym placu, otoczonym wspaniałymi gmachami. Był to plac „Piazza grande“ (po polsku plac wielki), odpowiadający naszemu rynkowi. Przed jednym z gmachów ustawione liczne stoliki, i krzesła, wskazywały, że mieści się w nim kawiarnia. Tu

usiedliśmy i podczas picia kawy dawał mi stryj różne objaśnienia.

Wielki pałac przed nami, to ratusz miejski „palazzo comunale“, jak go tryesteńczycy zowią. Tam mieszczą się biura magistratu, tam rada miejska odbywa swe posiedzenia, tam także sejm się zbiera. Przed ratuszem wznosi się śliczna studnia, nazwana studnią Maryi Teresy. Otaczają ją cztery posągi, przedstawiające cztery części świata, piąta nie była jeszcze znaną, gdy stawiano studnię. Strumienie wody, spadające w podstawioną muszlę, wyrzuca z siebie duży, niezgrabny delfin. Niedaleko studni widać było wysoki słup, wystawiony na część Karola VI. Ciekawem to jest, że do przeniesienia go z niedalekiej miejscowości Corgnale[1]) trzeba było użyć 43 wołów i 70 robotników. Wystawili go Tryesteńczycy na pamiątkę pobytu tego monarchy w ich mieście, któremu ono początek swej świetności zawdzięcza.

Bezsprzecznie jednak najpiękniejszym gmachem na całym placu był ten, przed którym siedzieliśmy. Był to pałac Lloyda, ozdobiony przy wejściu dwoma przecudnymi posągami z marmuru. Na moje zapytanie objaśnił mnie stryj, że ten pałac jest własnością towarzystwa handlowego tegoż nazwiska. Nazwisko, nieco dziwnie brzmiące, pochodzi z angielskiego, bo to Anglik Edward Lloyd, właściciel kawiarni, był założycielem pierwszego podobnego towarzystwa w Londynie. Lloyd austryacki, założony został w roku 1836, celem ułatwienia stosunków handlowych z miastami portowymi innych państw. Dzisiaj okręty Lloyda odbywają podróże nawet do Chin i Japonii, a towarzystwo posiada przeszło 80 parowców.

— Wartoby ci pokazać — wtrącił stryj — arsenał Lloyda, gdzie naprawiają stare i budują nowe okręty. Jeżeli zechcesz, to odłożymy zwiedzenie cmentarza na jutro a dziś pójdziemy do arsenału.

— Czy ja chcę? ale z największą ochotą.

---

[1]) wym. Korniale.

— Poczekaj więc tutaj chwilę, pójdę do kancelaryi towarzystwa i przyniosę bilety wstępu, bo inaczej nas nie puszczą.

Przy tych słowach wstał stryj, i zawołał: „pagari“ [1])! Na to słowo zjawił się płatniczy i odebrał należytość za kawę. Stryj udał się do kancelaryi po bilety, ja zaś stałem w progu pałacu: podziwiałem tymczasem wspaniałą klatkę wchodową, ozdobioną dwoma marmurowemi posągami.

Po chwili wrócił stryj z biletami, wsiedliśmy więc do tramwaju, który zawiózł nas, jadąc wzdłuż brzegu morza, daleko po za latarnię, gdzie za ślicznym ogrodem publicznym „San Andrea“ wznosi się Lloyda arsenał.

W bramie odebrano od nas bilety i dano osobnego przewodnika, który nas oprowadzał i wszystko tłumaczył. Zwiedziliśmy wiele dużych i małych zabudowań, otaczających małą zatokę a wszędzie setki robotników, wśród stuku i huku machin parowych, pilnie pracowało. Najwięcej zajął mnie olbrzymi tułów okrętu, przy którym na rusztowaniach dużo rąk było zajętych. Niestety, daleko jeszcze było do jego wykończenia, a śliczna ma to być chwila, gdy taki, nowo zbudowany okręt, z doku na morze spuszczają. Przy brzegu stało kilka większych okrętów na kotwicy; gdy przewodnik zobaczył, jak ciekawie mu się przypatruję, zrobił stryjowi propozycyę zwiedzenia jednego z nich (zob. ryc. 28).

— Ten tu, najbliższy nas, to żaglowiec niemiecki, służący do przewozu wychodźców amerykańskich; przybył do nas z ładunkiem bawełny i nim wyruszy w dalszą podróż, czeka naprawy. Jeżeli pan pozwoli, to możemy popłynąć do niego i zwiedzić go dokładnie.

Ku memu jednak zmartwieniu stryj dał mu odmowną odpowiedź, skutkiem czego nie mogłem zobaczyć, jak okręt wewnątrz wygląda.

Wyszliśmy z arsenału i wrócili do hotelu, by trochę odpocząć i następnie w dalszą po mieście puścić się wę-

[1]) płacić.

drówkę, lecz, niestety, ledwośmy weszli do pokoju, zjawił się listonosz z listem do stryja (zob. ryc. 29).

28. Arsenał Lloyda.

Niedobra musiała być w liście wiadomość, bo zasępiło się jego oblicze.

Stryj zamyślił się chwilę i rzekł nareszcie:

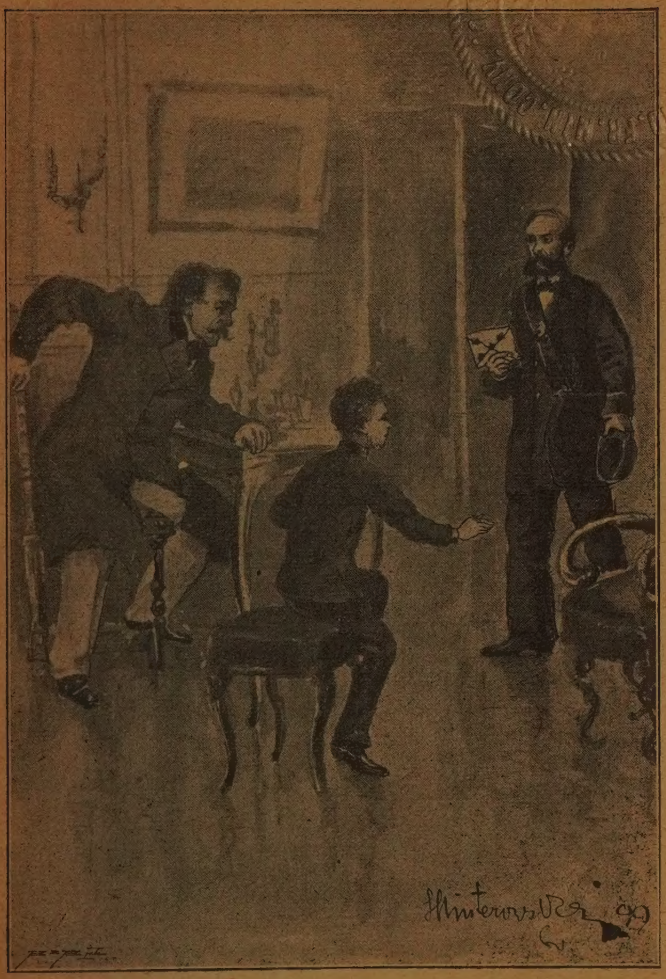

29. Niemiła wiadomość.

— Żal mi bardzo, Franiu, że tym razem skończymy naszą podróż na Tryeście; muszę jednak wracać do domu

i to najbliższym pociągiem. Krzyzstofie, pakuj rzeczy, powrócimy przez Rjekę, Buda-Peszt i Ławoczne, to najprostsza droga.

Na te słowa przykro mi się z początku zrobiło; nasza dalsza podróż na niczem spełzła. Łzy zakręciły mi się w oczach, ale gdym sobie przypomniał, com już widział, ile już wrażeń odniosłem, nie chciałem żalu mego okazać. Tłumiąc więc moje wzruszenie, przyskoczyłem do niego, ucałowałem go serdecznie i oświadczyłem, że chętnie wracam, bom już do tej pory widział tyle ładnych rzeczy, że niecierpliwie oczekuję tej chwili, kiedy będę mógł rodzicom i braciom to wszystko opowiedzieć.

Uścisnął mnie stryj serdecznie i poszedł do biurka napisać list jakiś, a ja stanąłem w oknie, by poraz ostatni nasycić się widokiem morza. Wkrótce pociąg popędzi na północ, przez niż węgierski za Beskid, do Przemyśla. Myśl moja biegła naprzód do kochanych rodziców, chociaż oko błąkało się jeszcze po bezgranicznym przestworze modrego Adryatyku.